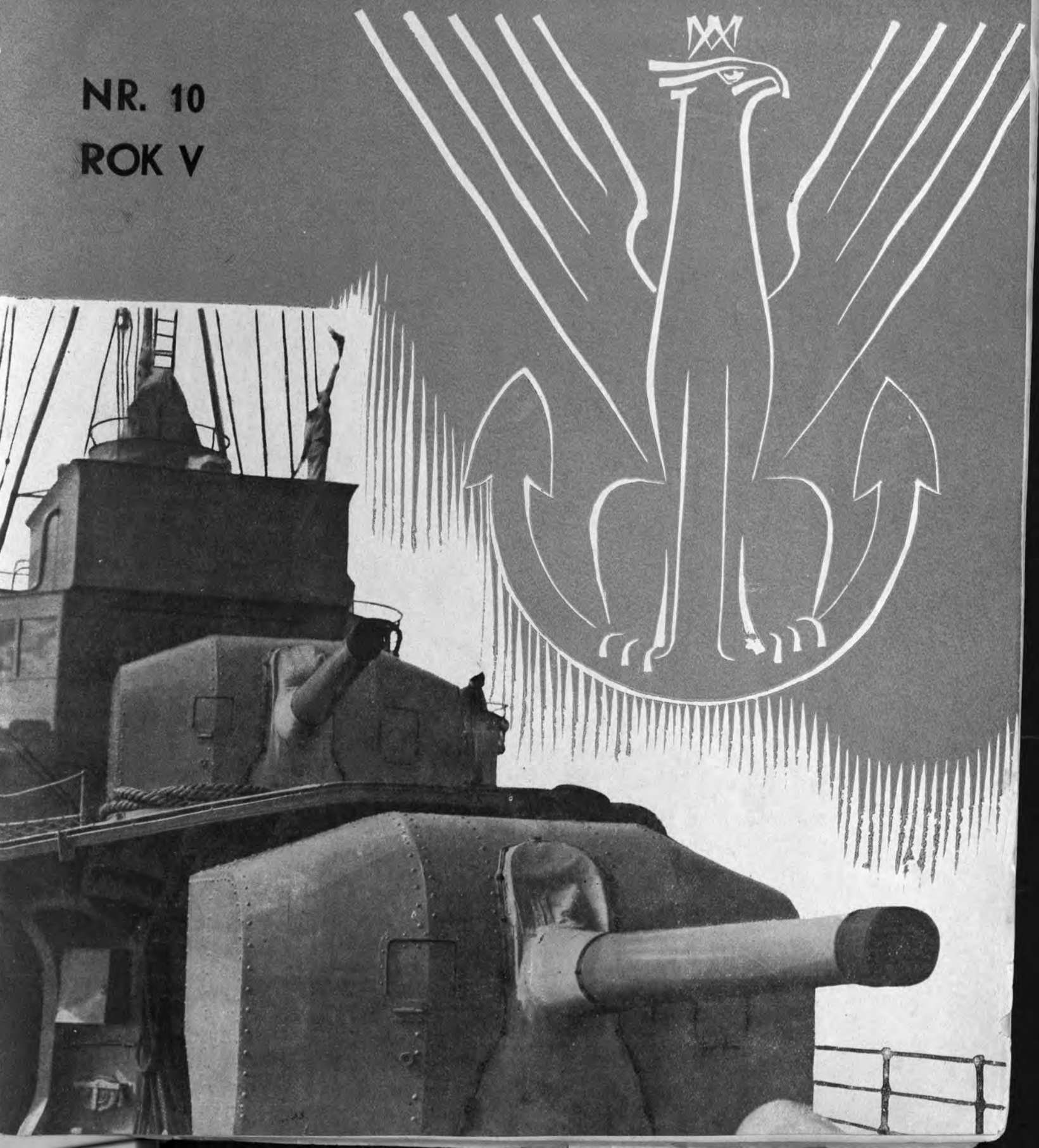


PODCHORĄŻY

NR. 10

ROK V



Wobec strajku w drukarniach warszawskich numer niniejszy ukazuje się z dużym opóźnieniem.

Numer następny ukaze się już normalnie 1-go Marca b. r.

FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać z Nimi trwałą współpracę, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty ogłoszenia jej przyznania.

Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją.

Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.

PODCHORĄŻY

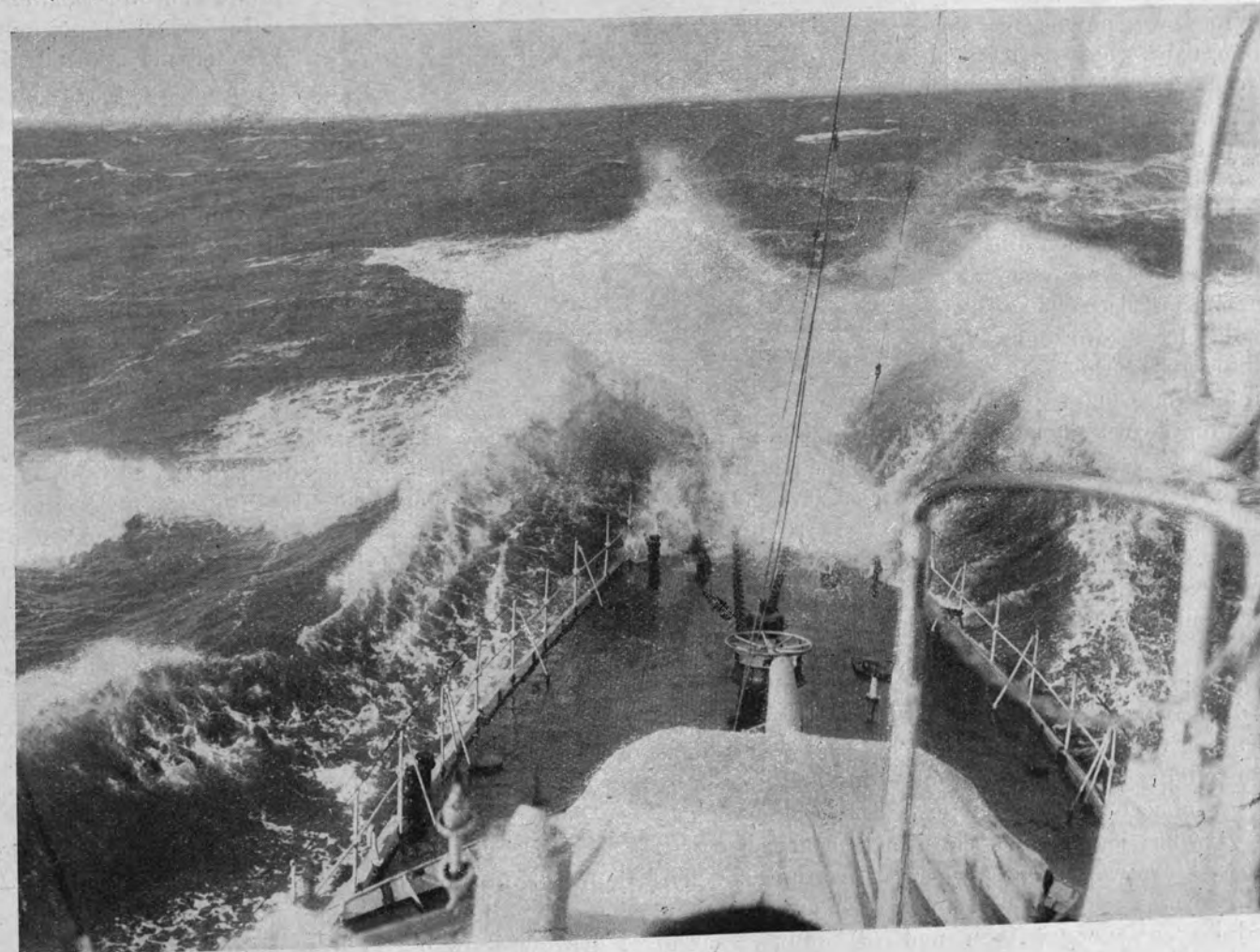
organ szkół podchorążych

Nr. 10(83)

15 LUTEGO 1936 R.

ROK V

Na pełnem morzu



POLSKA NA BAŁTYKU

Tegoroczne uroczystości związane z 16-sto leciem odzyskania morza zbiegły się z faktem mniej uroczystym, lecz doniosłym i wymownym w swym realizmie, podpisaniem umowy na budowę dwu wielkich łodzi podwodnych krążowniczych o wyporności z górą 1000 ton w stoczniach holenderskich, które posiadają już oddawna ustaloną opinię jednych z najlepszych stocznii.

Jedna z tych łodzi budowana jest z funduszy społecznych — z sum zebranych przez F. O. M. i komitet budowy łodzi podwodnej im. Marszałka Piłsudskiego działający wśród wojska.

Prócz tych dwu jednostek znajduje się w budowie we Francji stawiacz min «Gryf» o wyporności 2.250 ton i dwa wielkie po 2100 ton liczące kontrtorpedowce budowane w Anglii, — okręty, które ze względu na swą nowoczesność, uzbrojenie, szybkość i wielkość będą bodajże najpotężniejszymi okrętami tego typu na Bałtyku.

Fakt jednoczesnej budowy 5-ciu jednostek jest niewątpliwie bardzo pocieszający — z chwilą ich ukończenia Polska Marynarka Wojenna będąca już w posiadaniu pięciu nowoczesnych jednostek: kontrtorpedowców Wicher i Burza po 1540 ton, łodzi podwodnych Wilk, Ryś, Żbik po 980 (1250 przy zanurzeniu całkowitem) i szeregu drobniejszych częściowo starych, a częściowo nowych (cztery trawlerzy po 180 ton wybudowane w kraju) będzie reprezentowała poważną siłę. Równie doniosłym faktem świadczącym o zrozumieniu idei rozbudowy siły wojennej na morzu są piękne wyniki zbiórki wśród społeczeństwa cywilnego i wojska, wyrażające się sumą 5 i pół miliona złotych i pozwalające na zapoczątkowanie budowy wielkiej jednostki.

Wobec tych optymistycznie nastrojących faktów trzeba jednak zwrócić uwagę na szereg czynników, które wynikając z naszych warunków geograficznych i politycznych, muszą być uwzględnione w dalszych poczynaniach nad rozbudową naszej

floty wojennej, jeśli chcemy aby mogła ona spełnić swą rolę w całokształcie obrony państwa.

Przy dzisiejszym rozwoju techniki okrętowej i uzbrojenia okrętów rola biernej obrony wybrzeży coraz bardziej maleje. Niewiele jest takich baz jak n. p. angielski Gibraltar, którym natura sama wsparta przez nowoczesną technikę nadała warunki umożliwiające wytrzymanie ataku z morza, a i to możliwości tej obrony są przez fachowców mocno kwestjonowane.

Położenie naszej bazy morskiej, charakter naszego wybrzeża stawia nas w wyjątkowo ciężkim położeniu, stwarzając zupełnie nierealne warunki obrony biernej. Słaba liczebnie i składająca się tylko z lekkich jednostek flota została zamknięta i zgnieciona bez możliwości oporu. Coraz bardziej zwycięża pogląd, że jedynie skuteczną metodą obrony jest wyjście na morze i tam przeciwstawienie się przeciwnikowi, zagrożenie mu zniszczeniem jego własnych baz, sparaliżowanie swobody jego działań.

Jednocześnie trzeba zdać sobie sprawę, że odcinek morski na-

szej granicy nie jest zwykłym odcinkiem, który wymaga tylko zabezpieczenia od wtargnięcia przezeń nieprzyjaciela. Fakt, że dziś przez granicę morską przechodzi 75% naszego handlu zagranicznego świadczy o tem dobitnie. Oprócz obrony samego wybrzeża istnieje jeszcze nie odparta konieczność obrony dróg morskich, zagwarantowania komunikacji, jeśli już nie z całym światem to przynajmniej z wybrzeżami Bałtyku.

Struktura nowoczesnego państwa i mechanizm współczesnej wojny jest w tym względzie bardzo czuły i nie jest zdolny wytrzymać odcięcia od źródeł surowców.

W świetle tych warunków i konieczności fakt jednostronnego składu naszej marynarki wojennej — brak wielkich jednostek linjowych pancerników i krążowników jak i ogólny tonaż wynoszący zale-

dwie 9600 ton, a łącznie z budowanymi jednostkami 18.000 ton w zestawieniu z prawie 200 tys. Niemiec, 190 tys. Sowieków, 100 tys. Szwecji 24 tys. Danji i 16 tys. Finlandji jest zupełnie niewspółmierny do zadań, które nasza Marynarka Wojenna musiałaby w razie zbrojnego konfliktu spełnić.

Jasnym jest, że dążenie do wybudowania floty, której wielkość byłaby równa łącznie dwóm największym flotom na Bałtyku (czego w skali światowej długo bronila Anglja, musiała jednak w końcu zrezygnować) jest nierealne.

Nieodzowną jednak koniecznością jest zbudowanie takiej floty wojennej, któraby tak ze względu na jej siłę liczebną jak i na jej pełnowartościowość: t. j. przez posiadanie obok lekkich jedno-

stek — kontrtorpedowców i łodzi podwodnych silnie opancerzonych i uzbrojonych potężnych pływających twierdz — mogła wyjść na morze, zachowała przeciwnika niepozwalając mu bezkarnie przecinać linii komunikacyjnych, w walce z nim zmusiła go do zaangażowania wszystkich swych sił, gwarantowała, że teatrem bitwy morskiej nie będzie nasza baza, że nasz port i wybrzeże nie zostanie zaskoczone inwazją ze strony morza.

Z radością witając realne poczynania zmierzające do rozbudowy polskiej siły zbrojnej na morzu nie można tracić z oczu potrzeb wynikających z istniejących warunków zadań.

Pchor. W. Brodzikowski.

M O R S K I E A. B. C.

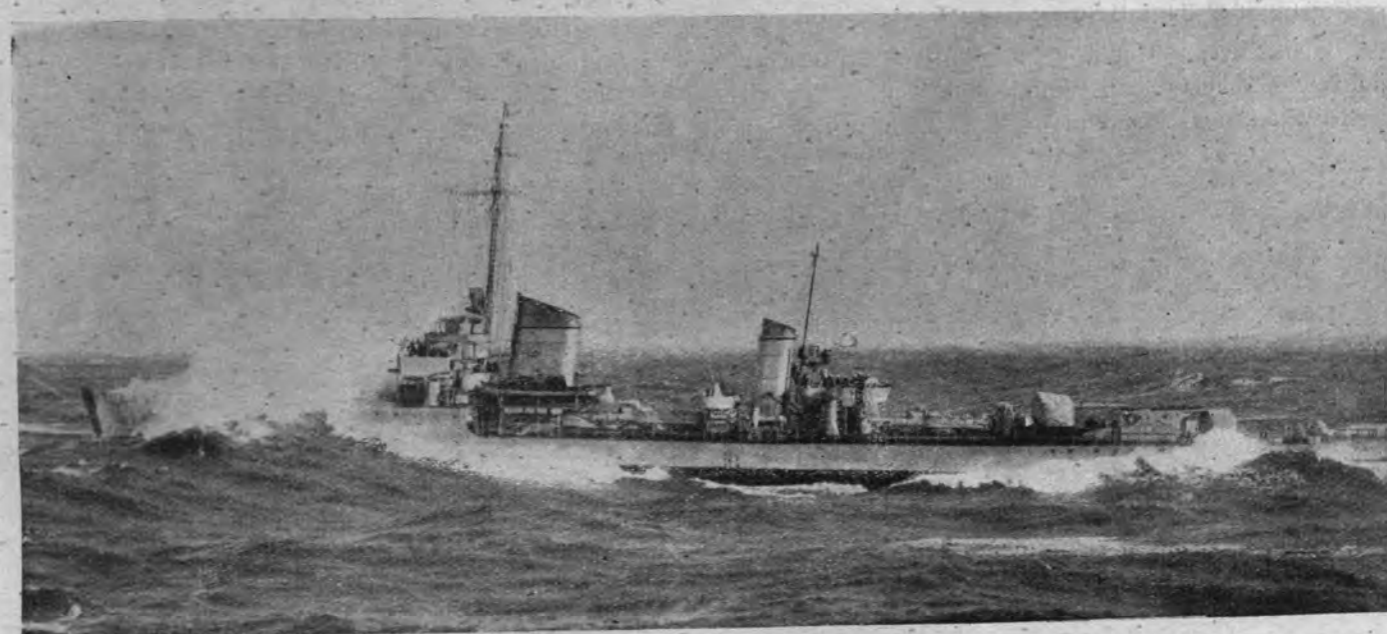
Nowoczesny zespół okrętów, który my w swojej terminologii nazywamy flotą, winien — aby stanąć na wysokości zadania — składać się z wielu rodzajów jednostek zależnie od interesów państwa którego sprawi broni i warunków w jakich operuje.

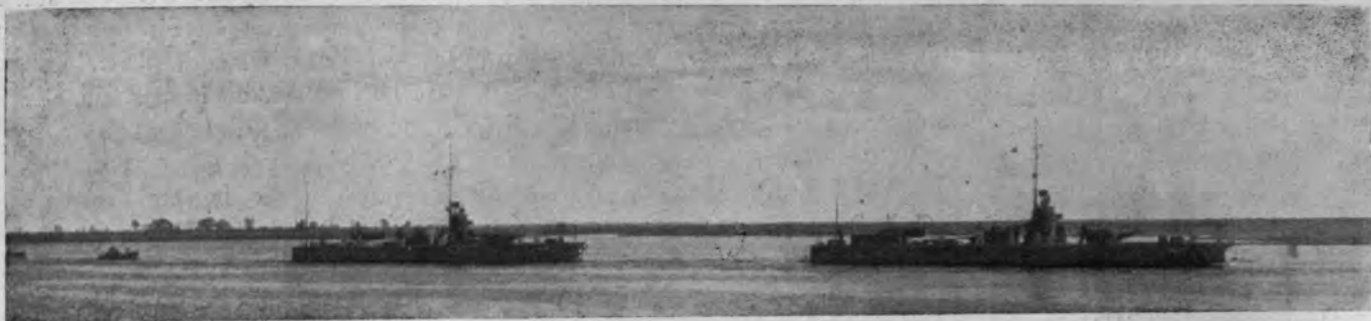
Postaram się przejść wszystkie typy pokolei, te które spotyka się obecnie w składzie wszystkich flot wojennych, a które są wynikiem wieloletnich doświadczeń i prób tak teoretycznych w laboratorjach, jak praktycznych w czasie pływania lub bojów.

Dwa podstawowe typy do zwalczania floty wojennej nieprzyjaciela to pancernik (dreadnought)

i krążownik linjowy — wyporność ich waha się od 40 — 20 tysięcy ton, uzbrojenie składa się z 8 — 12 dział kalibrów od 280 — 305 — 356 — 381 aż do 406; załoga każdego z takich okrętów składa się z 30 — 50 oficerów i około 1000 marynarzy. Posiada on na pokładzie dwa — cztery wodno-samoloty, które startują za pomocą specjalnego przyrządu zwanego katapultą. Silna artylerja mniejszych kalibrów (203—150) chroni go przed szybkim torpedowcem lub przed zdradliwą łodzią podwodną, liczne działa i km. przeciwlotnicze zapobiegają atakom powietrznym. Jako ilustracja potęgi takiej jednostki niech służy taki przykład: pocisk działa 406 mm.

Pełną parą





Monitory rzeczne w styku torowym na Pinie

waży około 1.200 kg. co przy 9-ciu działach i 2-ch strzałach na minutę daje 21.600 kg. środków niszczących, wyrzucanych na odległość 20—30 klm.

Krażowniki opancerzone służą: do obrony baz, wielkich transportów, niszczenia mniejszych sił nieprzyjaciela, ich uzbrojenie maksymalne stanowią działa 305 mm., parę wodno — samolotów i silny pancierz, wyporność waha się 10 — 25.000 ton zależnie od wymagań interesów danego państwa. Silna artylerja pomocnicza składa się z około 20 dział mniejszych kłb. 130 do 150 mm., przyczem przeciw bombom lotniczym stosuje się kilka warstw pancernych pokładu.

Krażowniki lekkie około 6.000 ton służą do wywiadu i rozpoznania w akcji bojowej, zaś pozatem dla ochrony dróg wodnych, cennych transportów przed działaniem łodzi podwodnych, lub równorzędnych jednostek nieprzyjacielskich. Ich zasadniczym walorem jest szybkość która dochodzi do 43 węzłów (t. zn. 43 mil morskich na godz.) przy fantastycznych mocach mechanizmów do 150.000 koni. Artylerja ich składa się z dział 203 lub 152 mm. oraz kilku dział 100 mm. Jako środek ochrony służy im torpeda i lina.

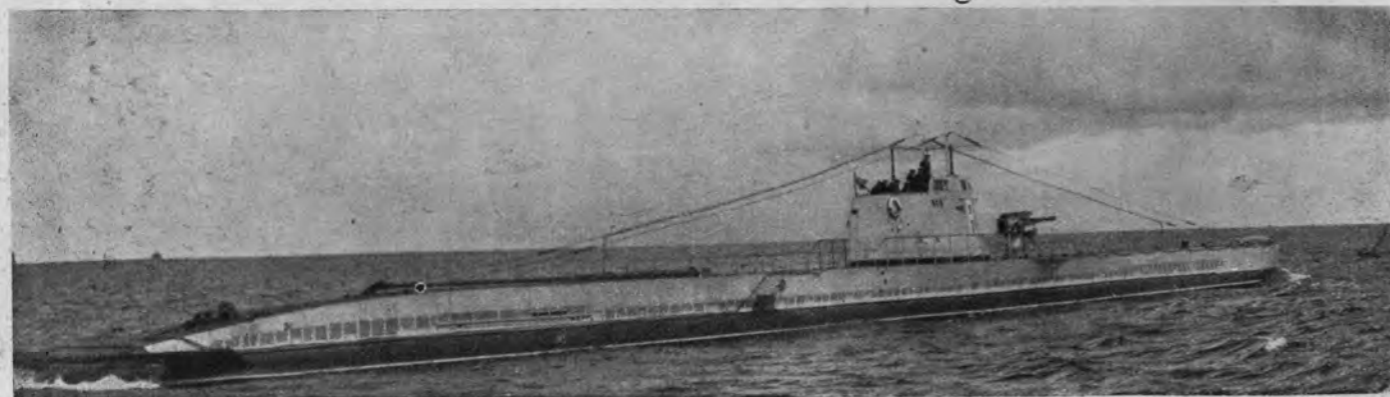
Niszczyciel (Destroyer - ang.) jest typem przejściowym między krażownikiem lekkim, a kontrtorpedowcem, o wyporności od 2 do 2.500 ton, artylerji

złożonej z 5-iu lub 6-ciu dział 130 lub 150 mm., 6-ciu lub 9-ciu wyrzutni torpedowych, bez pancierza, lecz zato o olbrzymiej szybkości około 45 węzłów i wielkiej mocy maszyn do 130.000 koni. Służy do niespodzianych napadów nocnych na flotę nieprzyjaciela, w akcji bojowej paraliżuje ruchy jednostek nieprzyjacielskich strasząc je torpedą i szybkością manewrowania. Jest również przewodnikiem floty lub dywizjonu kontr — lub torpedowców przy ochronie transportów, lub przy ochronie blokady kontynentu nieprzyjaciela.

Konrtorpedowiec i torpedowiec — są to dwa typy bardzo do siebie zbliżone. Szybkie, zwinne, różnej dość wielkości, od 500—1.500 ton posiadają parę dział 130 lub 100 mm., 6 lub 9 torped; działają one przeważnie zespołowo, po parę a używane są do rewizji statków handlowych przy blokadzie lub do niespodzianych ataków na jednostki nieprzyjaciela.

Specjalnym typem okrętu ze względu na swój teren działania jest łódź podwodna, gdyż służba jej nie ogranicza się tylko do powierzchni wody, a sięga aż pod wodę na głębokość 100 m. (co przy rozważeniu warunków takich jak; olbrzymie ciśnienie wody, trudność manewrowania, sztuczne i ciężkie warunki dla załogi, wykaże całe jej zalety). Tonaż jej waha się od 100 do 3.000 ton, przyczem w zanurzeniu zmienia się na znacznie większy. Jako

Łódź podwodna odpoczywa...

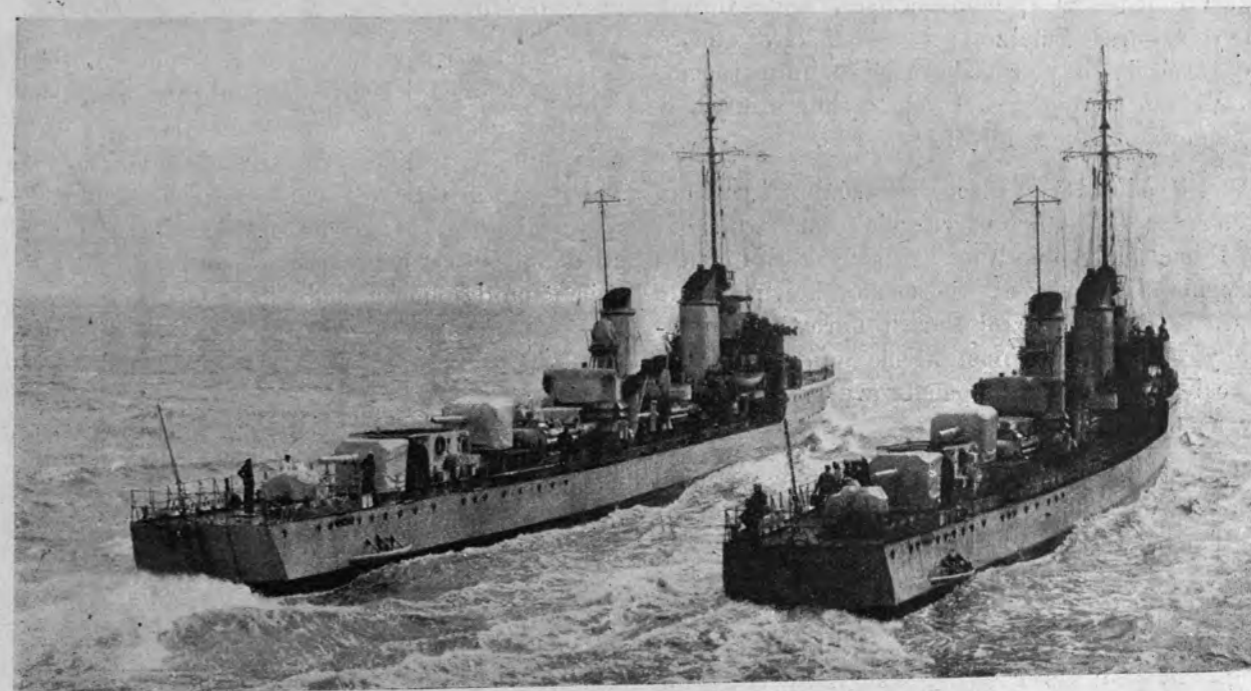


broń zasadnicza takiego okrętu występuje torpeda, zapomocą której atakuje nieprzyjaciela pod powierzchnią wody a będąc sam niewidoczny może obserwować nieprzyjaciela zapomocą specjalnych przyrządów optycznych t. zw. peryskopów.

Łódź podwodna służy do niszczenia floty handlowej, lub do atakowania całych nawet karawan okrętów. Warto wspomnieć tutaj o kilku jej cechach charakterystycznych konstrukcji: na powierzchni wody pędzona jest przy pomocy dużych silników „Diesla“, które jednocześnie ładują akumulatory, zajmujące i wagowo i objętościowo jedną piątą całej łodzi, a służące jako źródło energii do pływania podwodnego przy pomocy silników elektrycznych.

Oczywiście rejon pływania podwodnego jest dość mały. Artylerja na łodzi podwodnej służy jej

stawiacze min i trawlerzy. Stawiacz min, jak nazwa wskazuje, będzie służył do stawiania min, t. j. takich konstrukcyj specjalnych zawierających materiał wybuchowy, które pływając tuż pod powierzchnią wody, niszczą okręty zbliżające się do nich. Trawlerzy służy do wyławiania już postawionych min zapomocą specjalnych sieci. Mogą być także użyte do walki z łodziami podwodnymi przy użyciu granatów głębinowych, t. j. pocisków od 250 do 300 kg. materiału wybuchowego, detonującego na żądanej głębokości i niszczącego łódź bardzo delikatnie i precyzyjnie zbudowaną przez samo oddziaływanie silnego wstrząsu. Są w użyciu jeszcze liczne okręty o przeznaczeniu różnym, np. lotniskowiec, czyli okręt taki, który mając dość duże wymiary służy jako lotnisko dla samolotów znajdujących się na



Biada wrogowi, jeśli się zbliży

do zatapiania mniejszych statków handlowych względnie do obrony przed lotnikiem, będącym najcięższym wrogiem łodzi podwodnych, gdyż z dużych wysokości łatwo jest odkryć miejsce ich pobytu.

Są w użyciu specjalne łodzie podwodne stawiacze min, które posiadają pewien zapas min mogących być postawionymi z zanurzenia w miejscu, w którym mogą skutecznie szkodzić wrogowi.

Poza temi typami są jeszcze okręty takie jak:

jego pokładzie w liczbie od 50 do 100. Pozatem kutry torpedowe, małe szybkie motorówki z dwoma lub trzema torpedami, wreszcie cały osobny dział — lotnictwo morskie, używające także nawet torped, jeśli chodzi o akcję morską.

Tak możnaby podzielić współczesne jednostki marynarek wojennych.

pchor. Mokrski

S. P. Mar. Woj.

Numer niniejszy ukazuje się z opóźnieniem spowodowanym strajkiem w drukarniach warszawskich.

USPOŁECZNIONY INDYWIDUALIZM

Wśród podstawowych zasad aktualnych obecnie wśród szeregu państw ideologii politycznych, wymienia się powszechnie naturalny dezyderat wychowania obywatelskiego. Jednym z jego licznych kryterjów jest m. i. popularnie zwana walka z indywidualizmem.

Jeśli chodzi o Polaków, egzaltacja praw jednostki sprawiła, że od lat „szeroko-torowe“ pojmowanie problemów państwowych i społecznych było u nas prawie zawsze połączone z oczywistą szkodą dla całości organizacji państwowej. Skrajny z natury poniekąd indywidualista, Polak-obywatel liberalno-demokratyczny Rzplitej, pojmujący swobodę, równość i wolność w sposób swoisty, specyficznie krańcowy zatracił bardzo często właściwą miarę między swobodą obywatelską a nierozumną samowolą. Wynikiem tego był np. symptomatyczny okres sejmowładztwa z lat 1922 — 1926.

W Niepodległej Polsce złowróżbny poszum czarnych skrzydeł starszylacheckiej samowoli odwrócił Piłsudski, powodując znany przełom. On jednocześnie dzięki swej niezapomnianej po wsze czasy pracy wychowawczej Narodu sprawił, że psychika obywatela i jego nastawienie w stosunku do spraw całej zbiorowości państwowej skierowane zostały na tor właściwy.

Nie jest to niewątpliwie dziełem przypadku, że takiej przemiany poglądów na dobro ogólne dokonał Pierwszy Rycerz i Największy Wódz na przestrzeni wieków. Służba bowiem żołnierska, będąc najwyższym przejawem szczytnej pracy wyłącznie dla całości, dla wszystkich, a nie — dla własnego interesu i szczęścia, jest niewyczerpaną skarbnicą doświadczenia, wskazującego imperatywnie jakim być winien stosunek obywatela do państwa.

Ten stosunek jednostki do społeczeństwa — to problem kapitalny, odpowiadający w płaszczyźnie służby wojskowej stosunkowi szeregowca do dowódcy, wyobrażającego ideę całości armji. W wojsku ujęty oddawna został w system dyscypliny, jednej z najpotężniejszych.

W wojsku jako gromadzie, która musi być do najwyższego możliwego stopnia zmechanizowana i rozumnie a trzeźwo zrutyinizowana, nie może być mowy absolutnie o własnej woli, o ile nie jest podporządkowana woli dowódcy. Stawałaby się ona bowiem wicherzycielską, gdyby

żołnierz mógł ulegać niezdiscyplinowanym porywom swej indywidualności.

Jedna wola, wola dowódcy, nieodparcie dominuje nad wszystkim. Wola dowódcy personifikuje niejako nas wszystkich — szeregowców, niezmordowanie prących ku wytycznemu sprawdzianowi wartości żołnierskiej, a przez to i obywatelskiej. Chodzi bowiem o osiągnięcie takiego wewnętrznego wyrobienia, by wysublimowany z własnych porywów i aspiracji oddział był kierowany jednolicie. Po szczególne kółka danej kadry, t. j. jednostkowi żołnierze muszą dawać z siebie wszystko na rzecz ogólnej sprawności całej armji, tem samem — na rzecz ogólnego dobra.

Stanowiąc, że „żołnierz poświęca służbie wojskowej wszystkie siły ciała, ducha i umysłu“, że „podporządkowuje on swą wolę przełożonemu i oddaje mu wszystkie swe siły pod rozkazy“, albowiem „zbiorowa siła wojska tkwi w pomnożeniu wartości poszczególnych żołnierzy przez posłuszeństwo“, jednocześnie t. zw. artykuły wojenne wymagają samodzielności, „gdy brak rozkazu, gdy rozkaz jest niepełny lub gdy okazał się niewykonalny.

W tych wypadkach jest żołnierz obowiązany zastąpić lub uzupełnić rozkaz własną inicjatywą. Bowiem w każdym położeniu powinien żołnierz w granicach rozkazu działać samodzielnie, mając na względzie dobro ojczyzny, służby i oddziału¹⁾.

Jak widzimy zatem, służba żołnierska bezwzględnie najpewniej koryguje charaktery obywatelskie.

Etapem pracy na drodze do zrealizowania tego postulatu jest tkwiące w niej dążenie do wykształcenia uspołecznionego indywidualizmu. Uspołeczniiony indywidualizm nie jest zaprzeczeniem wielkich walorów jednostkowej inicjatywy, przeciwnie na niej buduje swe granitowe podstawy. Potencjalną bowiem dynamikę osobistego indywidualizmu w sprawach całą zbiorowość państwową obchodzących tylko i wyłącznie skierowuje na korzyść tej zbiorowości.

Leg. z cenz. Z. Laguna

D. K. P. R. Kielec.

¹⁾ Vide Mars, „Podręcznik wojskowy“. Wydawn. zbiorowe. Warszawa 1927, str. 566—568.



NA MARGINESIE DYSKUSJI BUDŻETOWEJ.

Sesja budżetowa parlamentu jest niezmiernie doniosłym okresem w życiu państwa nie tylko dlatego, że jest to moment rozporządzenia majątkiem państwowym oraz ustalenia wysokości przyjętych przez naród ciężarów na rzecz państwa, lecz i dlatego, że wnioski rządu o uchwaleniu budżetu poszczególnych resortów popierane są przez członków rządu obszernymi sprawozdaniami i wyjaśnieniami dającymi obraz całokształtu polityki rządowej. Nad tymi „exposés“ odbywa się dyskusja, która jest wyrazem opinii całego narodu i miarą uznania przez naród słuszności zasad postępowania rządu. — Jest rzeczą oczywistą, że społeczność nie może zbiorowo kierować polityką państwa natomiast winna jak najdokładniej znać i rozumieć podstawowe zasady tej polityki, brać udział w ich kształtowaniu by móc współdziałać z rządem, a także aby móc przez powołane do tego organy politykę rządu kontrolować i sądzić.

Obecna sesja budżetowa Sejmu i Senatu jest w życiu naszego państwa okresem szczególnie ważnym, jest bowiem pierwszą sesją budżetową w ramach nowego ustroju Rzeczypospolitej — jest wreszcie pierwszą wielką pracą podjętą przez nowe Izby, wybrane na zasadach nowego prawa wyborczego. To też od razu narzuca się nam pytanie jak wykonywuje swe zadanie Sejm i Senat w ramach swych nowych kompetencji ustawowych i jaka atmosfera pracy wytworzyła się w nowych Izbach.

Zagadnienia te oświetlił w swym przemówieniu gen. referent budżetu wicemarszałek Miedziński. Należy tu przypomnieć, że zgodnie z zasadami nowej Konstytucji prawo inicjatywy budżetowej przysługuje jedynie rządowi, a więc Izby ustawodawcze nie mają prawa wprowadzania nowych wydatków lub podwyższania proponowanych przez Rząd. Wynika to jasno z ducha Konstytucji która rozdziela kompetencje rządu, przysługujące wyłącznie rządowi od kompetencji parlamentu — ustalania budżetu; nakładania ciężarów na obywateli. Zasada ta kładzie kres dawnej tragicznej praktyce rządów przedmajowych, gdy Sejm „przepracowywał“ cały budżet, uchwalając coraz to nowe wydatki, nie licząc się z możliwościami ich pokrycia i skazując zgóry rząd na pracę na podstawie nierealnego budżetu.

I słusznie podkreślił wicemarsz. Miedziński, że Sejm winien pamiętać, że wydatki, to są zawsze podatki i kto podwyższa wydatki Państwa, ten podwyższa ciężary nakładane na obywateli. Natomiast rolą przedstawiciela narodowego jest raczej bronić społeczeństwo przed nadmiarem obciążeń, aniżeli inicjować, i że ta inicjatywa jest pozostawiona Rządowi.

Jeśli teraz chodzi o system pracy nowego sejmu to stwierdzić należy b. doniosłą zmianę w porównaniu z pracą poprzednich Izb. Znikły dawne obyczaje gdy posłowie decydować chcieli o najdrobniejszych sprawach, gdy obraz głównych zasad polityki państwowej rozplywał się w powodzi gadulstwa o najbłahszych, często nawet personalnych kwestjach; gdy poseł jak to określił Marszałek Piłsudski „chciał być nadkonduktorem, nadinżynierem, nadlekarzem, nadprawnikiem nadrzędem i nadPrezydentem“. Obecny Sejm w dotychczasowych obradach nad budżetem wykazał zdolność do pracy konstruktywnej wytworzył w wielu sprawach wspólną atmosferę, i osiągnął pozytywne wyniki we współpracy z Rządem. Ta realna praca Sejmu najbardziej przyczyni się do wyrobienia właściwego autorytetu, tak niezbędnego dla powagi państwa.

Głównym dążeniem Rządu było doprowadzenie do zrównowazenia budżetu. Zasada równowagi budżetowej jest w naszych warunkach bezwzględna koniecznością. Utrzymując bowiem zasadę stałości waluty rząd nie ma możliwości powiększenia emisji banknotów, zaś wszelkie normalne środki kredytowania zostały wyczerpane. Dlatego też aby uchronić społeczeństwo przed ciężkimi konsekwencjami inflacji rząd musiał poczynić szereg oszczędności w znacznej części opartych na ofiarach społeczeństwa. — Akcja rządu znalazła w społeczeństwie pełne zrozumienie, które przejawiało się w nastawieniu Sejmu w stosunku do przedłożeń rządowych. Jak to stwierdził wpremier Kwiatkowski w obradach nad budżetem przeważała zawsze racja stanu, polegająca na dążeniu do umocnienia dzieła Marszałka Piłsudskiego — umocnienia niepodległości i samodzielności politycznej i gospodarczej Państwa.

W krótkim artykule niesposób opisać całokształtu obrazu polityki rządowej przedstawionego w toku obrad nad budżetem. Nas jako żołnierzy interesują w szczególności zagadnienia polityki zagranicznej państwa i obrony narodowej, i te kwestje postaramy się poniżej w krótkości omówić.

Założenia polskiej polityki zagranicznej przedstawił w swym znakomitem przemówieniu w sejmowej komisji spraw zagranicznych p. minister Józef Beck. W ciągu szeregu lat pod osobistym kierownictwem Wielkiego Marszałka realizował on dzieło ugruntowania mocarstwowego stanowiska Polski wśród narodów świata. Obecnie po raz pierwszy, od śmierci Marszałka przedstawił on narodowi wytyczne polskiej polityki zagranicznej, wspaniałą kapitał myśli Józefa Piłsudskiego, który minister Beck otrzymał od Marszałka w czasie paroletniej służby na swym dzisiejszym posterunku.

Założenia te streścić można w trzech zasadniczych tezach¹⁾: 1) punktem wyjścia i ostatecznym celem naszej polityki winna być wyłącznie polska racja stanu, na którą nie mogą mieć wpływu żadne względy uboczne, czy też abstrakcyjne doktryny.

2) miarą zaangażowania się Polski w każdym zagadnieniu polityki międzynarodowej winien być stopień naszego zainteresowania tem zagadnieniem. Zasada ta oznacza zaniechanie marzycielstwa mesjanistycznego i skierowanie wysiłku narodu wyłącznie na drogi realizmu politycznego.

3) Droga naszej polityki prowadzi przez poszukiwanie elementów konstrukcyjnych i realnych, rozwiązań dla nas i innych pożytecznych i praktycznych — jest to więc droga najprostsza.

Zachowując zasadę niezależności naszej polityki zagranicznej doceniamy znaczenie współpracy międzynarodowej i od tej współpracy nie uchylamy się, wymagając jedynie zgodności celów z polską racją stanu i bezwzględnej lojalności. Polska podpisała układów politycznych niewiele, lecz podpisała je po to aby ich dotrzymać i tego samego wymaga od swych kontrahentów. Bezwzględne dążeniem naszej polityki jest utrzymanie pokoju i w tej dziedzinie możemy się poszczycić znacznymi sukcesami. — Uregulowanie stosunków ze wschodnim i zachodnim sąsiadem, przez zawarcie paktów o nieagresji, spowodowało znaczne odprężenie w stosunkach politycznych i stanowi jedno z najdonioślejszych wydarzeń w drodze do tworzenia pokojowego współżycia w Europie powojennej. Nowe traktaty w niczem nie osłabiły dotychczasowych sojuszków, do pogłębienia których dąży cały naród w harmoniji z rządem.

W stosunku do Ligi Narodów, Polska nie przeceniając jej znaczenia, uważa Ligę za b. pożyteczny instrument polityki międzynarodowej i w pracach Ligi bierze czynny udział. Dowodem uznania narodów dla naszej współpracy jest fakt niemal jednoznacznej reelekcji Polski do Rady Ligi.

W naszej polityce zagranicznej mamy obecnie dwie otwarte i trudne do rozwiązania kwestje — stosunków z Czechosłowacją i Litwą. Zadrażnienie w stosunkach polsko-czeskich, wywołane gnębieniem ludności polskiej w Czechach — jest przedmiotem rokowań dyplomatycznych. Na ustosunkowanie się Litwy do Polski rzuca jaskrawe światło ujawnione w toku procesu o zabójstwo min. Pierackiego fakty popierania przez litewskiego ministra spr. zagr. akcji terrorystycznej w Polsce.

W stosunku do konfliktu włosko-abisyńskiego, Polska, niezainteresowana bezpośrednio w tej sprawie, utrzymując jaknajlepsze stosunki zarówno z Włochami jak i Anglią zajęła całkowicie obiektywne i bezinteresowne stanowisko potępienia nie-

¹⁾ Przemówienie W. Stępczyńskiego w Sejm. Kom. Spr. Zagr.

sprobowanej napaści przez wzięcie udziału w zastosowanych przez Ligę Narodów sankcjach przeciwko Włochom.

Założenia zawarte w exposé min. Becka były przedmiotem ożywionej dyskusji w Komisji. Dyskusja ta dała wyraz bezwzględnej akceptacji zasad naszej polityki zagranicznej przez Sejm i pełnego zrozumienia jej wartości przez przedstawicieli społeczeństwa.

Dzięki genjuszowi Marszałka Piłsudskiego Polska uzyskała ściśle określenie swej racji stanu, wytknięte zostały jasno cele jej polityki zagranicznej, jej rola dziejowa, i żadne trudności, ani zewnętrzne naciski nie mogą wpłynąć na zmianę głównych wytycznych naszego stosunku do świata.

Zagadnienie obrony narodowej, oświetlone zostało w sejmie przy rozważaniu budżetu M. S. Wojsk. — Wydatki na wojsko jakkolwiek stanowią poważny odsetek (34%) naszego budżetu — są nieproporcjonalnie małe wobec sum wydawanych na zbrojenia przez inne państwa. Główną tendencją M. S. Wojsk. jest przeprowadzenie intensywnej polityki oszczędnościowej, która dała już poważne rezultaty w obniżeniu kosztów utrzymania szeregowców przez centralizację gospodarki, organizację zakupów bezpośrednio u producentów, oraz obniżkę kosztów produkcji materiałów uzbrojenia. Jako większe prace wojska w ub. roku podkreślone zostały budowa stoczni w Gdyni, wielkie sukcesy w działalności Funduszu Kwaterunku Wojsk., który w ciągu niespełna 8 lat wybudował już 4.650 mieszkań o ok. 16.500 izbach, posuwanie przez wojsko procesu motoryzacji kraju i popieranie produkcji samochodów w kraju, przedewszystkiem zaś wielka akcja pomocy wojska w akcji powodziowej. Ratowanie z niezwykłym bohaterstwem i poświęceniem przez formacje wojskowe ginącej ludności, wydawanie żywności i odzieży przez magazyny wojskowe zapewniło wojsku ogromną wdzięczność ludności całego kraju.

Pozatem podkreślona została działalność kulturalna wojska, skoncentrowana w Wojsk. Inst. Nauk. Oświatowym. Dzięki tej pracy wychowawczej zwalczanie analfabetyzmu — uświadamianie obywatelskie żołnierza — podnoszenie jego poziomu kulturalnego, stanowi wraz z wyszkoleniem fachowym i utrwaleniem zasadniczych wartości żołnierskich, jednolitą całość, zmierzającą do wyszkolenia i wychowania fachowo dobrze przygotowanych, mocnych duchem i karnych obrońców kraju, sposobiac ich równocześnie do dalszej pracy społeczno-obywatelskiej.

Dyskusja nad budżetem M. S. Wojsk. wykazała iż przedstawiciele narodu z entuzjazmem odnoszą się do pracy naszej armji. Miarą pozytywnego ustosunkowania się całego społeczeństwa do armji było znamienne oświadczenie przedstawiciela narodowości ukraińskiej¹⁾ który po raz pierwszy oświadczył,

¹⁾ Przemówienie posła Celewycza.

ić głosować będzie za budżetem M. S. Wojsk., gdyż społeczeństwo ukraińskie chcąc prowadzić swą pracę konstruktywną w oparciu o Polskę, uważa, że silna i dobrze zaopatrzona armja polska leży w interesie narodu ukraińskiego. Podobne oświadczenie złożył przedstawiciel Ukraińców w Senacie.

Te ważne oświadczenia świadczą o zrozumieniu przez przedstawicieli narodowości ukraińskiej, że „Polska jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli“, uświadomienie sobie obowiązków względem państwa i jak to określił jeden z senatorów¹⁾ — są pośmiertnym triumfem posunięć Marszałka Piłsudskiego.

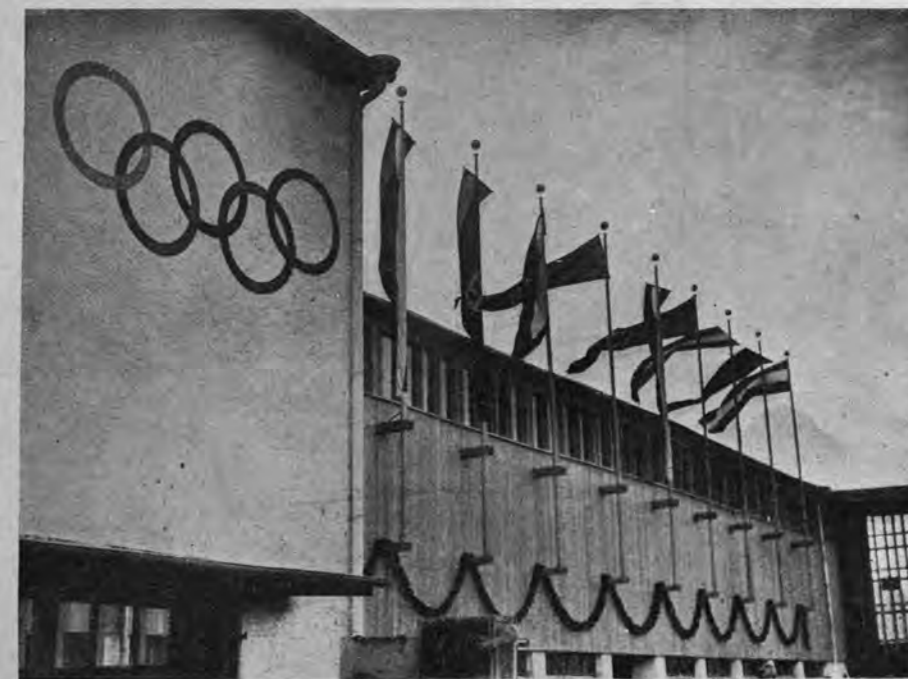
¹⁾ Przemówienie sen. Bobrowskiego w Kom. Budżet. Senatu.

G A - P A.

S kromne doniedawna i szerzej nieznanie, pełne swoistego romantycznego uroku, ciche uzdrowisko bawarskie stało się na krótki okres czasu międzynarodową stolicą wszechświatowego królestwa sportów zimowych. Garmisch-Partenkirchen, przed kilku jeszcze laty prawie odcięta od świata osada górską rozbrzmiewa obecnie gwarem międzynarodowego zgiełku, tętni życiem wielkich sportowych wydarzeń, jest na ustach całego świata, ma nawet swoją międzynarodową nazwę. Ga-Pa komunikuje się najbardziej nowoczesnymi urządzeniami tele- i radjo-telegraficznymi nie tylko z całą starą Europą, ale nawet z egzotycznymi krajami kontynentów Południa, Wschodu i Zachodu. Gości sportową śmietankę świata: od żółtych synów kraju Kwiatu Wiśni aż do energicznych Amerykanów, od płowych Skandynawów do Turków i Australijczyków. Szybkie i sprawne połączenia kolejowe z resztą Niemiec, świetne przygotowanie techniczne terenów sportowych, wielka sprawność organizacyjna — to Ga-Pa, stolica IV Olimpiady zimowej.

Niemcy dobrze zrozumiały korzyści, jakie im da przygotowanie Olimpiady. Zrozumiały wartość propagandy, roznieśionej po całym

Na zakończenie przytoczymy słowa premiera Kościalskiego, który w swym przemówieniu na plenum Sejmu znakomicie określił rolę armji w państwie; — „mocne podkreślenie czołowego miejsca, jakie armja w całokształcie naszego życia państwowego zajmuje, jest kardynalnym punktem realizacji naszego ustroju, bowiem ponad sumowanie siły fizycznej, ponad mechanizm środków walki, armja polska jest, przedewszystkiem, wielkim zbiornikiem siły moralnej, jest szkołą poczucia obowiązku i honoru narodowego, jest egzaminem gotowości do ofiar na rzecz Państwa i tak są też kształtowane jej zadania przez obecne dowództwo“. J. S.



Fragment stadionu w Garmisch Partenkirchen

świecie przez zagranicznych gości. Wiedziały, jaką sławę niemieckiej pracy da wysokie przygotowanie techniczne Olimpiady, sprawnie funkcjonujący aparat organizacyjno-administracyjny, wyniki doskonale przygotowanych sportowców. Do przygotowań olimpijskich przystąpiły poważnie i solidnie. Wielki rozmach prac wstępnych i dokładne przeprowadzenie świetnie zaprojektowanych planów mają przypomnieć światu, że Niemcy żyją pełnią życia potężnego mocarstwa. Jak wielką wagę przywiązują do propagandowego znaczenia Olimpiady na własnym terenie — świadczy udział w uroczystościach olimpijskich wysoko postawionych osobistości niemieckiego życia państwowego, z kanclerzem Hitlerem włącznie.

Po dotychczasowych wynikach sędzić można, że Niemcy cel swój osiągnęły. Prasa całego świata rozbrzmiewa hymnami pochwalnymi na cześć sprawności przeprowadzenia olimpiady zimowej. Na Niemcy zwrócone są w tej chwili oczy całego świata, i to nie tylko świata sportowego. Podziwia się niemiecką myślową twórczą, mówi się i pisze o wysokiej klasie niemieckiego materiału ludzkiego, odnoszącego na torach olimpijskich wartościowe zwycięstwa, zdobywającego złote i srebrne medale

mistrzów zimowej Olimpiady. A przecież — to dopiero początek. Olimpiada zimowa — to tylko wstęp. Istotną wartość dla Niemiec mieć będzie Olimpiada letnia, która zwróci na Berlin uwagę całego świata. Przez kilka miesięcy dzielących nas od rozpoczęcia Olimpiady berlińskiej, przez okres walk olimpijskich i jeszcze długo potem mówić się będzie o Niemcach i Berlinie, roztrząsać i dyskutować zagadnienia nie tylko sportowo, ale i natury zasadniczej, bardzo Niemcy obchodzące. I — już teraz możemy o tem sądzić — mówić się będzie o Niemcach dodatnio. Pochwały dla Niemiec dotrą do najdalszych zakątków kontynentów, urabiać będą przychylnie dla narodu niemieckiego nastawienie. A o to przecież tylko chodzi — rzeczą niemieckich dyplomatów i polityków będzie przekuć tę przychylną opinię świata na ważkie na międzynarodowym rynku politycznym wartości. A Niemcy tak bardzo tych wartości potrzebują: mają jeszcze do pomysłnego dla siebie załatwienia sprawy zbrojeń, przywrócenia Niemcom międzynarodowego prestiżu, odzyskania utraconych w Wielkiej Wojnie kolonij — i wiele, wiele innych spraw do wygrania.

Tak wygląda olimpiada z niemieckiego punktu widzenia. Inne narody, wysyłające swe reprezentacje na Olimpiadę, robią to z wielu względów. Może nienajbardziej ważkim jest względem ideowy: udział danego państwa w międzynarodowym zlocie dla uczczenia potęgi i piękna ciała i mięśni, uczynienia zadość staremu kultowi fizycznej strony Człowieka. Ważny jest natomiast względem propagandowy. Śmiało stwierdzić można, że więcej międzynarodowej propagandzie Finlandji przysłużyły się zwycięstwa olimpijskie jej lekkoatletów, niż posunięcia jej polityków; bardziej znana jest flaga Finlandji z masztów olimpijskich, niż z jej handlu międzynarodowego, — a wartość propagandy jest na rynku wielkich zagadnień coraz więcej ceniona.

Jak wygląda udział Polski w Olimpiadzie zimowej, i jakie wartości z Ga-Pa wywieziemy? Przykro



Na skoczni olimpijskiej

przyznać, że analizując odpowiedź na te pytania — nie można uchronić się od przekonania, że udział w Olimpiadzie zimowej naszych reprezentantów był raczej — zbędny. Udział ten nabiera wartości wtedy, gdy zawodnicy — jeśli nie odnoszą zwycięstw, to przynajmniej zajmują czołowe, punktowane miejsca, ewentualnie, jeśli nauka, przywieziona

przez nich ze startu olimpijskiego, może się komuś na coś przydać. Robienie tłoku w szarym tłumie out'siderów nie może przynieść korzyści propagandzie polskości na terenie międzynarodowym, a nawet — wprost przeciwnie. A czy naprawdę wielkie korzyści wyniosą nasi zawodnicy z batów, które na Olimpiadzie oberwą — też jest tematem do dyskusji. Dla nauki lepiej te same baty otrzymywać pocichu, niż przy wielu świadkach...

Naogół osiągnięte przez naszych zawodników rezultaty są bardzo słabe. Hokeiści swoim występem dowiedli, iż nie mogą być poważnie brani pod uwagę na rynku międzynarodowym. Wysokiej przegranej z Kanadą 1:8, przegranej z Austrią 1:2 i wyeliminowania drużyny już w pierwszej turze rozgrywek nie zrównoważy wątpliwej wartości zwycięstwo 9:2 ze słabiutką Lotwą. Nie poprawi również opinii naszemu hokejowi ewentualny udział w turnieju pocieszenia, który, być może, nawet nie dojdzie do skutku. Czy, biorąc na zdrowy rozum, nie lepiej byłoby dla polskiego hokeja, zrezygnować z udziału w Olimpiadzie, a natomiast zaangażować na pewien okres czasu dobrego trenera? I większa, korzystać, i taniej... A z Lotwą wygrać możemy przecież i na swoim podwórku...

Jedyny nasz łyżwiarz, Kalbarczyk — pochwalić się już może zdobyciem nowego rekordu Polski na 3.000 i 5.000 m. Ale — czy nie może spowodować pobłażliwego uśmiechu dla naszego łyżwiarstwa fakt bicia rekordu państwowego przy równoczesnym zajęciu aż... 12-go miejsca w biegu olimpijskim? Propaganda — napewno słaba... A na naukę lepiej było wysłać Kalbarczyka — jedynego zresztą naszego

łyżwiarza o jakiej-takiej klasie — do dobrej szkoły łyżwiarstwa na północy.

Narciarze również słabiutko się pokazali. Wprawdzie nie było w Zakopanem śniegu, nie można było trenować — ale w takim razie, czy nie byłoby rozsądniejsze odwołanie ekspedycji, niż branie cięgów w olimpijskim towarzystwie?

Suche wyniki: w biegu na 19 klm. Polacy zajmują miejsca 22-gie, 32-gie i 43-cie (Górski, Orlewicz i Karpel). W biegu 18 km. do kombinacji: 17-te, 18-te, 22-gie i 35 (St. Marusz, Orlewicz, Czech, A. Marusz). Sztafeta 4x10 km. — Polska miejsce 7-me (niepunktowane). Skoki do kombinacji: St. Marusz dobre miejsce 3-cie, Czech 11-te, A. Marusz 12-te, Orlewicz 31-sze. Wynik kombinacji: St. Marusz 7-my (miejsce niepunktowane),

Czech 16-ty, Orlewicz 24-ty, A. Marusz 32-gie. Pewną wartość przedstawia wynik Marusza St., który uplasował się bezpośrednio za koalicją Skandynawów i Czechem Simunkiem. St. Marusz osiągnął następnie znakomity sukces, w skokach otwartych zajmując 5 (punktowane) miejsce, jako najlepszy skoczek Europy Środkowej. Jest to wspaniały, ale jedyny niestety, poważny sukces polskich zawodników.

Pozatem Polacy wzięli jeszcze udział w biegu łyżwiarskim na 10 klm., gdzie Kalbarczyk zajął 9 miejsce, oraz w maratonie, gdzie Karpel nie odegrał żadnej roli (26 miejsce).

Naprawdę, trudno znaleźć odpowiedź, dlaczego większość naszych reprezentantów znalazła się w Ga-Pa. K.

PRIMI INTER PARES

W auli Szkoły Podchorążych Lotnictwa została wmurowana tablica marmurowa, nad którą rozpościera skrzydła orzeł, symbol siły, odwagi, zwinności, poświęcenia, symbol władzy.

Znalezione ongiś gniazdo orła białego rozrosto się w Gniezno, później w Polskę Bolesławową, trwa dziś, potężnieje, rośnie, staje się mocarstwem.

Orzeł siedzący na tablicy marmurowej przypomina zawsze wychowankom Szkoły o miłości gniazda rodzinnego, miłości Ojczyzny, której majestat, wolność, niepodległość i mocarstwo wszyscy bronąć będą do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu w piersiach.

Nazwiska PRIMI INTER PARES z pomiędzy sześciu pokoleń orlą, wychowanków szkoły są umieszczone na tablicy:

Azarewicz Walenty	1925/1927
Bogucki Bronisław	1926/1928
Malewski Antoni	1927/1929
Zdybkiewicz Kazimierz	1928/1930
Koźmiński Antoni	1929/1931
Nadwodzki Stanisław	1930/1932
Zyskowski Aleksander	1931/1933
Kostecki Stanisław	1932/1934

Tablica ta przypomina wychowankom szkoły codziennie o obowiązku oddania życia, pracy, każdego niemal tchnienia dla dobra Ojczyzny.

Orle gniazdo jest zawieszane wysoko na skale, ocierającej się o błoki.

Szkoła Podchorążych Lotnictwa jest wzniesiona wysoko na tradycji lotniczej polskiej, biorącej swój początek w chmurach dymów wojennych.

Tradycja ta nakazuje: patriotyzm, ideowe ujęcie pracy,

wysokie poczucie koleżeństwa, wysokie i silne poczucie obowiązku, stanowczość, zaciętość, punktualność, wytrwałość, hart ducha,

zdolność pokonywania trudów, wysokiego poczucia dyscypliny, opanowania nerwowego, zimnej krwi, lojalności i życzliwości, odwagi i zamięłowania do pracy, umiłowania prawdy.

Wszystkie dziedziny szkoły jednoczą się do wytworzenia u podchorążych czynnego i możliwie twórczego stosunku do państwa, w tem zrozumieniu, że działalność każdego z nich składa się na dobro wspólne lotnictwa, wojska i państwa, a ujawniające się tak w życiu jednostki, jak i w życiu zbiorowym we współdziałaniu z czynnikami rządzącymi państwem.

Tradycja lotnictwa i szkoły nakazuje pracować, a pracę pobudza współzawodnictwo i współdziałanie.

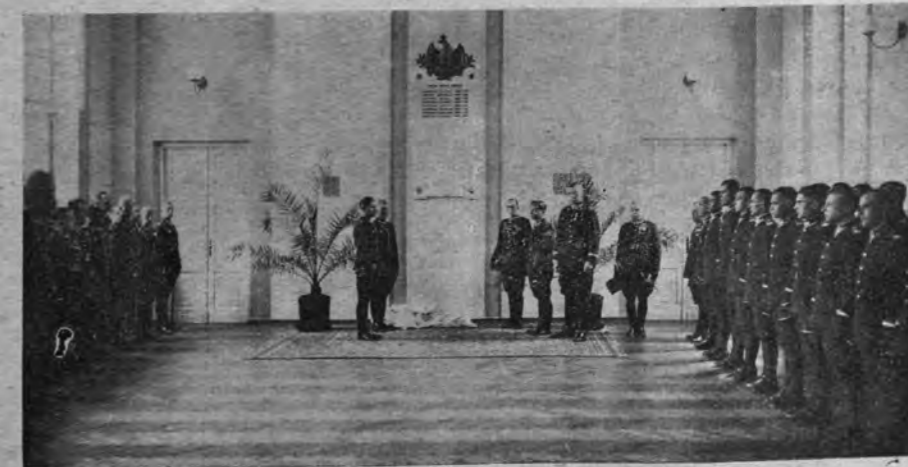
Tablica PRIMI INTER PARES wypukła naocznie tę pracę, współzawodnictwo i współdziałanie w szkole.

Marmurową tablicę PRIMI INTER PARES odsonił dnia 29 listopada 1935 r. Szef Departamentu Aeronautyki, Generał Brygady pilot inżynier RAYSKI Ludomił, zagrywając wychowanków w krótkich i mocnych słowach do pracy w szkole i później dla dobra lotnictwa i potęgi Polski.

Podchorążowie, wychowankowie szkoły, stojąc w długim dwuszelegu przyrzekli sobie w duchu, że „ja“ będę następny z kolei na tablicy PRIMI INTER PARES, że „ja“ będę tym orłem, który wzbiło się najwyżej pociągając i innych za sobą.

Ż B I K.

Dęblin, C. W. O. L.



Odsłonięcie tablicy „Primi inter pares” w Szkole Podch. Lotnictwa w Dęblinie

REPORTAŻ Z LOTNISKA W DĘBLINIE

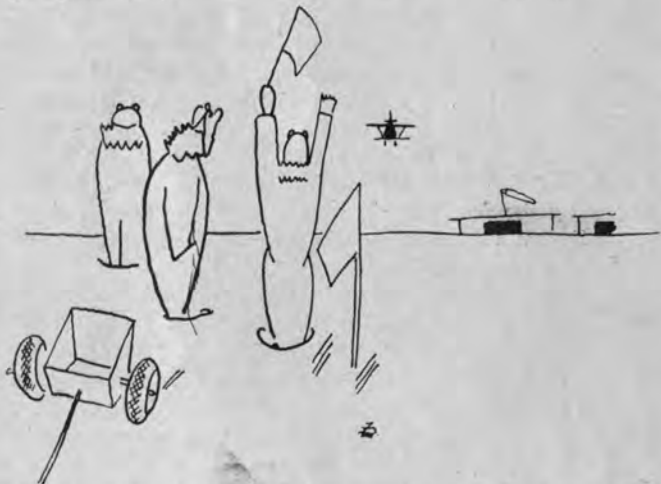


Halo, halo, tu lotnisko Dęblin. Dzięki uprzejmości władz wojskowych udało się nam zainstalować nasze mikrofony sprawozdawcze na lotnisku w Dęblinie. Proszę państwa, stoimy na starcie grupy podchorążych starszego rocznika. Od hangarów podkołują maszyny. Są to piękne dwupłaty, krótkie, przysadkowate, mają pozór złośliwych bąków.

Proszę państwa, startuje pierwsza maszyna. Państwo zapewne słyszą warkot silnika. Lekko toczy się po ziemi i... już jest w powietrzu. Jak oni to ładnie robią. Już maszyna kładzie się na skrzydło i robi wiraż... słucham pana? ...aha, bardzo dziękuję. Proszę państwa przed chwilą jeden z obecnych pilotów objaśnił mi, że nasi piloci nie robią wiraży, a poprostu po polsku — skręty.

Oh! już proszę państwa startuje następna maszyna. Muszę państwu zaznaczyć, że wszyscy obecni na starcie pilnie śledzą ruchy wszystkich maszyn i robią jakieś uwagi, przyczem wesoło się śmieją. Za chwilę przeniosę swój mikrofon bliżej grupy, żeby i państwo mogli chociaż w ten sposób wziąć udział w dzisiejszych lotach.

Już jestem na miejscu: słyszą państwo rozmowy młodych pilotów.



— Piter, ja lecę na 16, mówię ci, byczo kręci. Tylko włożyć i ściągnąć, reszta już sama idzie.

— Halo, halo, a nogami to nic? Jak ci pójdzie na mordę, to czem ją wyciągniesz?

Muszę państwu wyjaśnić, że chodzi tu o „spiral”, czyli schodzenie z wysokości na domkniętym gazie. Maszyna jest silnie przechylona na jedno skrzydło, przyczem kadłub jest lekko zwrócony silnikiem ku dołowi. Maszyna opuszczając się zakreśla w powietrzu linię spiralną.

— Janek! zobacz co ten byk robi, tylko uważaj, zaraz będzie korek.

— Ooo jest! No klawo już wyprowadził, jednak te „Pewuesy” są wspaniałe, tak odrazu wychodzą z korka.

— Patrz — już Niusiek podchodzi do lądowania, zaraz będzie humor.

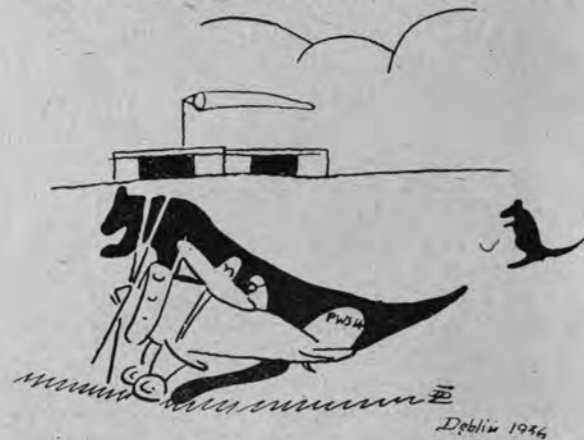
— Niusiek, szanuj skórę!!! Taak, już grupę minął, a jest jeszcze na 7 metrach i szus też ma odpowiedni. Może mu lotniska nie wystarczyć.

— Ale nie przesadzaj, nie bądź ogrodnik, tak źle nie będzie, no widzisz — już siedzi, że trochę zdaleko, no to trudno, każdemu się zdarzy!

— Panie poruczniku podchorążycki melduje się posłusznie po odbyciu lotu na spiral.

— To była spiral? to jakieś katolickie skręty, kto za podchorążego głębiej położy maszynę, ksiądz? a może ja? No cóż podchorąży milezy? A gdzie podchorąży lądował, lotnisko nie z gumy, nie rozciągnie się dla podchorążego. Podchorąży polecą jeszcze raz, a tymczasem dziękuję podchorążemu.

— Niusiek złotko, aleś pięknie latał, hm, hm.



— Ta daj spokój, machnąłem knypem do burty, potem ściągnąłem zupełnie na siebie, no to co ja winien, że ona mnie nie słucha?

— A do ziemi to chciała ci iść, czyś ją grzecznie poprosił, też zdaje się nie bardzo cię słuchała.

— E, bo się zawsze do mnie przyzepiacie, zawsze wam źle, nigdy wam nie dogodzę.

— A możesz dobrze dziś latać, ty dziadu kalwaryjski!

— Halo — panowie, uwaga, jeden chce się skrzydłem w ziemię wmeldować, ślizgać mu się zechciało do ziemi, zobaczmy co wódz na to powie.

— Ja podchorążemu tu ślizgawkę założę na lotnisku, co podchorąży chce maszynę rozwalić?!!!

— Kazik, do diabła, już wolę nie mieć tego wolnego dnia w czasie twego pogrzebu, bo za to musiałbym cię dzwigać, a pamiętaj, że sam ważysz około 80 kg. plus jeszcze



trumna, daj spokój, to nie żarty, zamęczyłbyś mnie nawet po śmierci.

— Ooo jest następny numer, kto to leci?

— No kto? Witek, zdaje się, że mu się kierunki pomieszaly, skąd on podchodzi, eee—szanuj skórę, uważaj na komin.

— Uwaga, kangury po lotnisku skaczą, hop, hop, hop!

— Witek, coś ci się ta maszyna w kangura zamieniła, coś taki smutny, każdemu się zdarza.

— Grupa uwaga!!! jest amator na pilota niszczycielskiego, zaraz rozbije maszynę i całą grupę.

— Proszę państwa, trzymam w tej chwili mikrofon pod pachą i więcej co sił w nogach przed maszyną, która goni nas po całym lotnisku. Pilot zdaje się oszalał, a może do maszyny naleli zamiast benzyny spirytusu i urzęła się biedaczka, kobiety zawsze miały słabe głowy.

— No nareszcie mogę odsapnąć, maszyna już wylądowała. Rozrzuciła tylko krzeselka, na których siedzieliśmy i mały stolik, sobie nie robiąc krzywdy. Proszę państwa, jestem zbyt zdenerwowany ostatnim incydentem, żebym mógł dalej prowadzić ten reportaż. Podziwiam tylko naszych dzielnych pilotów, którzy w czasie tej ucieczki, jak państwo słyszeli, zarykiwali się śmiechem.

Dęblin. Pchor. J. Mintowt-Czyż.

DO GÓRY NOGAMI

(Z cyklu: Kronika Sparty).

Wieczorem piekielnie zdruzony głos speakera ogłaszał komunikat Instytutu Metafizycznego. Śnieg, śnieg, śnieg... Białe, misterne gwiazdeczki wirują w głośniku radiowym.

Tak poczęła się tragedia. Ludzie zaśmiewali się do łez z horoskopów Pim'a, ale oburzona do głębi natura chęcią



zakładania na jej postępowanie jakichkolwiek kajdan powstała w dostojnym majestacie, zadęła halnym wiatrem i wymiotła resztki śniegu z gór.

Związek Narciarski zaproponował Pim'owi przepowiednię upalnego lata w początkach marca i zniw na 1 kwietnia, ten jednak stanowczo odmówił, słusznie twierdząc, że bezpośrednio po tej prowokacji może nad naszymi ziemiami zapaść sześciomiesięczna noc podbiegnowa.

My przymierzamy buty narciarskie.

Do Zwardonia organizuje się spływ kajakowy.

Na giełdzie londyńskiej haussa.

Match hokejowy w Krynicy ze względów natury technicznej odbył się na wrotkach.

W Toruniu również sensacja. Na nadwiślańskich stokach płasają po kolana w błocie dziwne postacie. Granatowe kostjomy, uduchowione twarze, patyki bambusowe w rękach, wyciągają z trudem nogi z rozkiszłej ziemi, potem bie-

gną przed siebie rozpryskując fontanny wody. Zaprawa narciarska.

Do redakcji IKC nadesłano curiosum, zakwitły w pełni zimy kaktus.

Wtem padł grom. Spadł! Napewno spadł! Niektórzy sami widzieli. Więc za kilka dni okryją się góry grubym, puszystym kobiercem śniegu pociętych śladami naszych nart. Niestety, okazało się, że to tylko „Kaczor” spadł z konia. Warunki narciarskie nie uległy poprawie. Trzeba zaciąć zęby.

Może nawet w tej Worochole ładnie, ale wszędzie dobrze, a u nas najlepiej. Grupa entuzjastów tego przysłowia zawiązała związek obrońców koszar (w skrócie Z.O.K.), a dla podkreślenia nieprzymuszonych dobrych chęci, w pełnej gotowości, przy broni bocznej meldują się u oficera służbowego. Jedna z klas proklamowała aklamacyjnie związek, legitymując się 90% członków.

Przeciwnicy ZOK'u noszący stale w głowifantasmagoryczne rojenia o polowaniach na dzikiego zwierza, codziennie przed pobudką usiłują w kompletnym uzbrojeniu urzęczywiście swoje marzenia, ale zawsze projekty kończą się fiaskiem.

I znowu spadł. A raczej spadły. Cała lawina. Runęła niśtąd nizowad na szkołę, przykrywając wszystkich szorstkim dywanem długich godzin spędzonych nad książką. Repetycje. Ktoś obliczył, że w przeciągu tygodnia postawiono półtora tysiąca stopni.

Bolek siwieje w przyspieszonym tempie, Kot podobno stego samego powodu nierównie prędzej łysieje.

Na wszelki wypadek zawiązano komitet sobótkowy, który zaraz odbył sześć zebrań, a na drugi dzień stanął gremjalnie do raportu z prośbą o pozwolenie wyjścia do miasta.

Na Hali Gąsienicowej spadł śnieg.

Narciarze wystąpili z projektem urządzenia kilkunastogodzinnych zapraw w niedzielę, napotkali jednak zdecydowany opór ogółu, poparty mniej więcej przekonującymi propozycjami.

Projekt ten z innych powodów nie nadawał się również do zaakceptowania. Roztrząsanie zawilich kwestji na niedzielnych referatach weszło już w naszą krew. Uprawieni do korzystania z przyjemności wielkiego miasta, szanując prelegentów cprawda, teroryzują wizjami piekła i praktyki w bardzo kresowych pułkach, narzucając godzinę ukończenia dyskusji. Na tle tem toczy się stała walka z członkami ZOK'u niezwykle elokwentnym, zdolnym do mówienia godzinny bez przerwy od rzeczy, wtedy, gdy kilkanaście par oczu wpatrzonych w tarcze zegarków łzawi się ze wzruszenia.

Komitet sobótkowy był już sześć razy w mieście i rozesłał jedno zaproszenie. Głowa Komitetu Stasiak, zarazem „spec” dekoracyjny podobno nosi wspaniałą iluminację i dekorację sal w głowie. Edek przepracował się do tego stopnia, że leży nawpół żywy w izbie chorych i czasem tylko budzi się, by skosztować porcje markierujących kolegów. Swoje zjada przez sen.

W Muszynie spadł śnieg.

W Toruniu jest błoto. Trzeba przystosować się do warunków terenowych kolorami ochronnymi. A białe rękawiczki nawet na odległość stu metrów rażą w oczy. Oczywiście, gdy będzie na ulicach pomorskiego grodu biało, jak w duszy dziewicy, zostaną rękawiczki natychmiast wydane.

Ale zazieleniły się ogrody i naramienniki. Piękną barwą świeżej trawy. Wszelkie insynuacje piechoty, że jest to kolor dojrzałej kapusty, są niecnemi wycieczkami osobistymi, które likwidowane będą w najdotkliwszy dla delikwentów sposób.

Jedna z klas urażona tego rodzaju oszczerstwem, oraz zarzutem, że niedługo i w artylerji tylko konie będą myślały kłamstwami godzącymi w nasze najistotniejsze uczucia, że prace topograficzne są tylko godnym zazdrości wycieczką.



Taneczne analogie

W Worochcie spadł śnieg.

Komunikaty sportowe, śniegowe, meteorologiczne podniosły hymn dziękczynienia.

Natychmiast wysłano delegata z dwumetrową tyką i termometrem do zbadania warunków.

Podobno pierwszego dnia odkrył szarotkę, choć przyrodnicy twierdzili, że można je znaleźć jedynie na niedostępnych szczytach wysokich Tatr. Znawcę górskiej flory zostali zapędzeni w złoty róg razem z drugą baterją.

Na którejś lekcji ktoś zasnął, obudzony dźwiękiem dzwonka zerwał się, przewracając krzesło i zaczął ćwiczyć przysiady, potem skłony głową. Twierdził, że gdy go w domu na urlopie przebudzi dzwonek telefonu, automatycznie zrobi to samo, poczem w przeciągu trzech minut ubierze się, pościeli łóżko, może nawet umyje i dopiero zpowrotem wróci do łóżka.

W Siankach spadł śnieg.

W Worochcie na widok delegata zaczął gwałtownie topnieć. Delegat natychmiast otrzymał rozkaz powrotu.

Na sobótkę wysłano trzysta zaproszeń.

Jeżeli dwa tygodnie temu mogło być, jak twierdzi pierwsza baterja, dwa tysiące osób, to i druga może mieć pewne aspiracje.

Kazik zalił się, że nie był wodzirejem, a będąc w pierwszym balonowym, mógł się prowadzenia nauczyć i zrozpaczony urwał Bogu ducha winnemu Koziółkowi, przyjacielowi Basi rogi wartości pięciu złotych.

Wydano dwadzieścia siedem sort narciarskich, włącznie z zimowami ci-usteczkami do nosa i chlebakami, w które należy na wyjazd zapakować bieliznę pościelową poduszki i koce.

Dwie godziny przed sobótką zaczęła się licytacja sztyb-letów i poszukiwanie zastępców w pogotowiu alarmowym. W koszarach zostali tylko obłożnie chorzy, rażeni na umyśle i kilka dzieciółów przysrubowanych do krzesełek. Piękna dekoracja sali wykładowej. Zainicjowano nawet składkę na zakup nowych dziobów o artyleryjskich barwach.

O godzinie jedenastej na posadzkach wszystkich sal i saloników dreptał niezliczony tłum usiłujących tańczyć par. Temperatura podniosła się do tego stopnia, że otworzono jedno z okien. Na salach zapanował przemiły chłodek, natomiast zasilone tym zastrzykiem powietrze na dworze podskoczyło temperaturą tak wysoko, że śnieg w Worochcie raptownie począł topnieć.

W sali bufetowej przy jednym ze stolików podniosła uroczystość o charakterze lokalnym. Zainteresowanie kry-

stalizuje się na osobie przemiłej jubilatki, obchodzącej dziesiątą rocznicę umilania naszych zabaw. Padają gęste toasty, przemowy, życzenia równie chlubnego następnego dziesięciolecia.

Trzęściwe rozmowy na temat przesuwania szaf i ujeżdżania remontów, czasem połączonego z wielkim niebezpieczeństwem.

Bardzo zgrabna panna w białej efektownej bluzeczce. W rozcięciu sukni migają posągowe nogi. Niezmiernie dostojna twarz. Typowy remont.

On zlekka uduchowiony.

Ona — „Jak pan wstętnie tańczy“.

On zlekka baranieje.

Ona — „Dziwię się, że pan mógł prosić mnie do tańca nie mając o nim pojęcia“.

On zlekka poci się na czole.

Ona milczy ironicznie.

Po chwili sensacja. A raczej dwie. Na centralnej sali wodzirej, modernista prowadzi mazura w sposób nazwany na poczekaniu niewiem dlacezo transjordańskim; w jednym z saloników trzech bohaterów zdobywa sympatję Jej. On po tańcu znika.

Obie kończą się fiaskiem. Wodzirej nagrodzony jest szmerem—twierdzi, że uznania. Ona oświadcza trzem bohaterom po półgodzinnych zabiegach — „Mogą panowie zmienić obiekt adoracji, ja jestem już śmiertelnie znudzona“.

Tango. Oczywiście: „Ostatnia niedziela“.

Oni — trzej bohaterowie — skłaniają głowy w niemej prośbie.

Ona — „Dziękuję, z panami nie tańczę“.

Foxtrott.

Walc angielski.

Tango. Oczywiście „Ostatnia niedziela“. Kajtek obliczył że grają ją trzydziesty pierwszy raz.

Śnieg w Worochcie topnieje. Z dwudziesto centymetrowej warstwy został tylko jeden centymetr. Ten na samym wierzchu.



...„Dziękuję. Z Panami nie tańczę“...

Na ulicach błoto.

Tango. „Ostatnia niedziela“.

Trzydzieści jeden dni styczniowych przedefilowało rędem na łapkach przytupując nóżkami w powietrzu.

Zegnamy styczeń melodią tanga: „Ostatnia niedziela“.

Toruń SPART

pchor. Z. Zajczkiewicz.

ilustrował pchor. J. Loga.

IDZIEMY DO WIŚNIEWA...

Wiśniew — to magiczny wyraz na kursie siedleckim. Właśnie w najlepsze żartujemy i opowiadamy różne „kawaly“ wojskowe i cywilne przy czyszczeniu broni, gdy wchodzi pan sierżant i krótko oznajmia:

— Jutro jedziemy do Wiśniewa.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wydłużają się miny i znika momentalnie radość. Wszystkim na myśli złowróżbny Wiśniew.

Właściwie sama nazwa — Wiśniew — niema w sobie nic przerażającego, przeciwnie łączy przyjemne wspomnienia nawet budzi apetyt i t. d., a jądro tragedji tkwi w samym fakcie, że 22 pułkowi piechoty podobało się urządzić tam strzelnicę szkolno-bojową. Dzięki więc tak nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności biedni strzelcy z cenzusem muszą na każde strzelanie „drygać“ okragle 15 km w jedną stronę. Ostatecznie marsz piętnastokilometrowy, to „szczeniak“ dla piechura, a tembardziej z cenzusem, najgorzej, że trzeba wstawać o godzinie 3.30 i być przygotowanym w drodze powrotnej na ewentualne naloty eskadry powietrznej i pociski artyleryjskie npla.

W trakcie przygotowań do wymarszu wyciąga się znowu z ukrycia zapomnianą „menachę“, co daje powód do przypomnienia czasów ślamazarnego rekruta, a stąd już prosta droga do złego humoru.

— Franek, myślałeś się dzisiaj?

— A po licha mam myć się, kiedy i tak będzie deszcz lub śnieg padał.

— Daj spokój — taka ładna pogoda i skąd deszcz? — perswaduje pierwszy.

— Co to dużo mówić, zobaczysz, gdy wyjdziemy. — Zresztą, gdy idziemy do Wiśniewa, zawsze niema pogody — dodaje klnąc pod nosem. Wszyscy są niezadowoleni i rozmowa nie klei się. Bez humoru opuszczamy kochane (w tym momencie) miasto Siedlce.

Głucho dźwięczą o kamienie bruku ciężkie buty żołnierskie. Czasem ktoś raźniej uderzy, skrzesze złote iskierki i znów panuje ciemność. Czasem światło lampki elektrycznej padnie na łopatkę odbije snop promieni i za chwilę wznosi się wyżej, ciekawie bada postacie wojaków, zagląda w oczy, a ujrzawszy ich niechętny i zły wyraz ucieka dalej. Wreszcie giną pojedyncze światła, a miejsce ich zajmuje ognista tona, która wskazuje Siedlce. Rzadko oglądamy się za tą toną, bynajmniej nie z obawy podzielenia losu żony Lota biblijnego, ale poprostu dlatego, że sąsiad z drugiej czwórki może „nadepnąć“ na odciski i to nie ślubne, lecz zwyczajne wojskowe.

W szeregach panuje karna cisza. Jedyne klacz naszego dowódcy pozwala sobie na parskanie, lecz tak anemiczne, że zdaje się urągać powszechnemu mniemaniu, które twierdzi, że parskanie jest oznaką zdrowia.

— Olek, uważaj, ta klacz zapatrzyła się na twoją głowę — rozlega się ostrzegawczy głos.

— Poczula siano — wyrokuje inny.

— Mądra klacz, ma o nim to samo zdanie co i dowódca plutonu — dorzuca drugi głos.

Słowem tym towarzyszy salwa śmiechu i momentalnie nastrój się zmienia. Sypią się dowcipy jak „z rękawa“.

Poculiśmy, że Siedlce daleko i trzeba zadowolnić się stanem faktycznym i szukać w nim stron jasnych.

Największy humor panuje w drużynie piątej, gdzie rej wodzi „zawodowy markierant“ (opinia kadry) zdrobniale zwany Pawelkiem. Posiada on, obok wielu innych zalet, rzadki talent rozweselania naszego dowódcy plutonu w chwili zdaje się najmniej odpowiedniej, bo przy „o. p. r.“ i dlatego cieszy się u nas pewnego rodzaju uznaniem.

Czasem ukaże się na szosie samochód. Oświetli nas na kilka minut, tak, że idziemy w jego blasku jak urzeczeni.

— Lewa wolna — rozlega się energiczny głos pana sierżanta.

Patrzmy chwilę do wnętrza uciekającego samochodu. Siedzą tam beztrosko rozparci pasażerowie i starają się zobaczyć co się dzieje nazewnątrz. Ogarnia nas na chwilę zazdrość. — Gdyby tak znaleźć się w tym ciepłym pudełku — myślimy. Mrok nocy zdaje się być teraz bardziej ponury i obojętny. Zdaje się obejmować swoimi mackami duszę, wciskać się do każdego jej zakątka. Nastrój ten trwa chwilę. Wraca znowu natura człowieka nęczonego tajemniczością, spragnionego nowych wrażeń i żadnego zwycięstw, chociażby nad samym sobą, a z nią i beztroška żołnierska wesołość.

Zaczyna prószyć drobny deszcz i szosa staje się coraz bardziej śliska, co powoduje częste potknięcia i upadki, ma się rozumieć nie moralne, ale czysto fizyczne. Denerwuje to pana sierżanta i co chwila daje się słyszeć jego przekleństwa i uwagi o chłopie, którego rano nie uderzono kłonicą i nie zdążył się jeszcze obudzić i t. d.

— To tak wy uważacie na wykładach — buczy z przekąsem, patrząc na nasze niedołązne kroki — a pan kapitan wczoraj mówił — piechota nie zna przeszkód — akcentuje uroczysto ostatnie wyrazy.

Mimowoli prężymy się i twardo wbijamy w lód podkółki, jakby pragnąc ocalić honor piechura.

Wreszcie osiągamy m. Wiśniew. Ma się rozumieć śnieg pada dość obficie i z trudem rozróżnia się figurki bojowe. Pomimo tak poważnej przeszkody strzelamy jak zwykle, to znaczy jedni celnie, drudzy — głośno. Droga powrotna odbyła się bez spodziewanych przeszkód, ponieważ pan porucznik był w dobrym humorze, a to spowodowało niespodziewanej porażki strzelających głośno, którzy znaleźli się w poważnej mniejszości.

K. P. R. Siedlce.

strz. z cenz. J. Olszański.



„Gęsiego“ przez śniegi



Łączność
nie ma
przeszkód

fol. Spodar

SPÓŹNIONA KORESPONDENCJA

Przez kilka minut zakłopotania gryzłem ołówkę i o mało co nie wypilem resztki atramentu z wiecznego płóra. Moi nader sympatyczni koledzy, a szczególnie II-ga drużyna I-go plutonu, która ma zaszczyt cieszyć się z posiadania w swem gronie redaktora-koresp. „Podchorążego”, stwierdziła, że albo mnie „wyleje na zbity pysk”, tak, że sobie rozbiję „pochłaniacz” i uszkodzę „pokrywę wyrzutnicy”, albo „w następnym numerze będzie coś od nas”. Z dumą, pełną wyniosłości, odparłem, że niema co uciekać się do tak kranfcowych i drastycznych środków, skoro ja nie mam o czym pisać, bo u nas narazie nic się nie dzieje. Odrzekli, że oni specjalnie dla mnie urządzą rewję, żebym ja miał nareszcie o czym pisać.

R. K. M. — ognia

fol. Razulan



Owszem, czemu nie?... Podobno dzisiejsza młodzież pisząca wie, jak pisać, tylko nie wie, o czym pisać. Tak twierdzi Irzykowski. Narazie nie mam nic przeciwko twierdzeniu p. Irzykowskiego.

Ale powiedziałem sobie: napiszę! Nawet listu do nareczzonej nie napiszę, ale korespondencja do „Podchorążego”, choć spóźniona, musi być...

Minęły złote dni Aranjezu. Urlop się już dawno skończył, o czym wszystkim chyba wiadomo, że to też na tym ziemskim padole wszystko, co piękne i dobre, kończy się o wiele zaprędko!... Meldunków prawie żadnych nie było.

Te trzy się nie liczą, chociaż...

Akurat na święto 3-ch Królów nietyle pięknie błyszcząca gwiazda, ile podoficer służbowy zaprowadził 3-ch, mylących się co długości urlopu, królewiczów, do „stajenki”, gdzie wyżej wspomniani ujrzeni twarde łoża, gwarantujące punktualną i natychmiastową reakcję na pobudkę.

Pozatem skonstatowano, że po świętach idzie wszystko „do luftu”.

„Nosy wam poprzyrastają do ładownic!” mówią, że ni-by mamy „złe postawy”.

„Wódz się zżyma”: „Główka do góry, ramionka do tyłu, pierś do przodu, paluszki do dołu, kierunek wprawo wskos!”...

Idziemy. Błoto, dużo błota.

Przez drogę przechodzi (zła wróżba) oficer sztabowy.

Wiadomo, że w takich wypadkach daje się zwykle „baczność”.

„Wódz” się znowu zżyma: „Cóż się tak patrzycie na ziemię? Tam nic niema, oprócz błota!”...

Pewnie — racja...

Wieczorem znów jakieś przeglądy; każą zdejmować koce i patrzeć, czy dolne kończyny mamy czyste. Ten i ów ma na piętach stare wżery. Polecamy b. dobre środki: galmanin, palistal.

Wogóle, to mamy nieszczęśliwy rok. Może dlatego, że przestępny. Przedewszystkiem jest o jeden dzień dłuższy, a dzień w wojsku, to bardzo długi okres. Pozatem wszystkie święta wypadają w niedzielę, więc bardzo nieszczęśliwie. I Matki Boskiej Gromnicznej w niedzielę i 3-ci maj, i nawet Wielkanoc w tym roku wypada w niedzielę...

Pech!

Na szczęście skończyły się t. zw. „repetycje”, utrapienie dni ostatnich. Z tego tytułu jest teraz taka radość, jak w czasie ich trwania ogarniała nas czarna rozpacz.

Bo ani rusz nie można było (największe wady) „streszczać się”, „wypędzać z siebie cywila”, zaprzestać „filozofowania”...

Pewnie...

Jak mówił Spartakus Lessinga: „Co? Filozofować? Śmiech mnie bierze. Będziemy bić się!”

D. K. P. R. Słonim strz. z cenz. T. Z. Strykowski

HALLO! TU SZCZYPIORNO!

Stało się. Muza kopnęła mnie w głowę i nolens volens zabrałem się do pisania. Niech i o Szczypiornie świat podchorążacki czegoś się dowie. Przecież i u nas wre praca, bo jest nas tu ni mniej, ni więcej, tylko... ohó, byłbym wypaplał. Ale jak na Szczypiorno to stanowczo za dużo. Dlaczego? Poprostu dlatego, że tyłu cenzusów jak rozejdzie się po Szczypiornie, to jest ich wszędzie pełno i... jeden drugie-

mu tylko „psuje szyki”. Całkiem zrozumiałe. Do miasta 7 klm. (do Kalisza), więc nawet nie warto się fatygować. Od czasu do czasu i tam jednak ciągną „pielgrzymki”.

Ale ruch u nas jest. Musi być! Bo jakże. Nasz dowódca p. kpt. Wodecki jest wielkim zwolennikiem ruchu, instruktorzy niemniej.

Proszę. Oto przykład:

...Dzień wstał śliczny, słoneczny. Po parodniowym deszczu była to niespodzianka wcale miła. Nie dziw więc, że całe bractwo miało rozweselone miny. Trzeba było widzieć z jaką gracją podrywali się na baczność i robili chwyt.

Sierżant uśmiechał się tylko pod nosem i mruzczał z zadowolenia.

— To są cholery! — rzekł, zwracając się do swego kolegi po fach. — Stoi to zawsze jak galat... Te, co tam stoicie jak ta rasowa kura!... wy! wy! wiecie co to jest galat?

— Tak jest panie sierżancie. Melduję posłusznie, że wiem! — odrzekł wyrwany Żyła.

— Wiecie? Galat to jest taka trzęsączka...

— Tak jest panie sierżancie!

— Trzęsączka! taka jak i wy wszyscy.

— Tak jest panie sierżancie!

— Tak jest! Pewno, że tak jest, wy smoki jedne.

Trzeba wam wstrzyknąć nieco ikry od wieloryba, bo jak chcecie, to potraficie zrobić wszystko porządnie, abisyńczyki jedne.

— Melduję posłusznie panie sierżancie, że galat się roztopił na słońcu, a pozostały same porządne cenzusy.

— Tylko mi tu nie mędrkujcie. Baczność!!!... Spocznij!!! Jak powiem spocznij, to musi być taki ruch, jakby się mysz w starym kaloszu okociła.

Jeśli tak ma być na spocznij, to proszę sobie wyobrazić jaki musi być „ruch w ruchu”.

Więc ruszamy się i to porządnie. Czasami aż tak, że kilometr „robimy” w 8 min. i to w pełnym oporządzeniu. Dosłownie! Żadna bлага!

Przy takim ruchu „wyciory” czują się jeszcze względnie dobrze, ale „konusy”? Pożal się Boże!

A propos konusy. Przypomina mi się przemowa, jaką pożegnano rekruta-konusa. Postaram się tu przytoczyć ją choć w części:

„...narodziłeś się nagle, w jednym dniu; wdziałeś na swoje drobne stopy buty, które utworzyły podstawę twojej nikłej sylwetki, i mundur, w którym mogłeś pomieścić 5 skromnych objętości...”

...kroczyłeś dzielnie w ostatnich czwórkach kolumny marszowej, utrzymując łączność zapachową z twymi długonogimi kolegami...

...nawet w najprzyjemniejszych chwilach swego żywota, podczas energicznej pracy szczęk, także nie znalazłeś wiele radości. Ostatni szedłeś po energię, zawartą w grochu i wodzie z kapustą, i ostatki też tylko przynosiłeś...

...jedynie matka-ziemia była dostępniejsza dla ciebie, gdy na energiczny rozkaz tuliłeś ją czule w ramiona lub w obawie przed lotnikiem badałeś nosem jej twardość...”

Ten biedny rekrut miał pogrzeb, jakiego się zupełnie



Jeszcze „szkoła strzelca”

nie spodziewał. Nawet sam Ras Gugsza ze swoją świtą wziął w nim łaskawy udział.

Obeenie wszystkie siły, nabrane na urlopie, trzeba wkładać w nogi, by nie ugrzęznąć w błocie, jakie na szczypiorniejszych drogach „obrało swą siedzibę”. Proszę nie myśleć, że to takie zwykłe, polskie błoto. Bynajmniej. Gatunek primae classis. Grząskie, lepkie tak, że za każdym krokiem but staje się o pół kilo cięższy. Szkoda, że nie wywożą go zagranicę. Byłoby czem się zaprezentować. Zato my, ganiając po niem codziennie, eksportujemy a raczej transportujemy je na butach i owijaczach do koszar. Od czasu do czasu urządzamy a raczej urządzają nam kąpiele błotne (bo jakże nie korzystać z tak hojnego daru natury),

Czar zimy



fol.

Króllicki

żeby z nas wyciągnęło wszelkie choróbka. Jeśli któryś z was koledzy ma „romantyzm” w nogach, czy coś podobnego, niech do nas zawita. Kąpiele takie są całkiem gratisowe.

Czołem!!!

K. P. R. 25 D. P.

strz. z cenz. Cz. Tarnowski

„O REWJI I KOMEDYANTACH”

Zaczął się to właściwie zupełnie niewinnie. Ot, jak nakaże tradycja, chłopcy na dzień przysięgi (dawno to było — w zeszłym roku) wyręchtowali „rewję podchorążacką”. Taka sobie całkiem kława rewja; z własnymi piosenkami i tekstami również kradzionymi, z kupletami na tematy lokalne, z nieodłączną kukłą rekruta (pogrzeb był wspaniały, z... a zresztą dobrze wszyscy wiecie, jak to wygląda. Nie wiecie zato napewno, jak wielkie było powodzenie i jakie to talenty wyluskano z IV Kursu Podchorążych Rezerwy w Pułtusk. Entuzjazm publiczności był ogromny, a wykonawców jeszcze większy. Sam Wódz Kursu po tygodniowym namyśle (bo to może Bóg wie co o sobie pomyślał te dekonniki...) złożył artystom serdeczne gratulacje i orzekł, że na żądanie miejscowej opinii rewję musimy powtórzyć w mieście. Wyrzuci się numery lokalno-wojskowe, doda co innego i gotowe.

— No tak, rozkaz... ale gdzie i kiedy, panie kptanie?..

— Sala kina „Nowości”, zakontraktowana już na 21-go stycznia — padła odpowiedź.

A więc kłamka zapadła. Pozostało tylko „ora et labora”, czyli: módl się, żeby to wszystko dobrze wyszło, a haru, bo inaczej i modlitwa nie pomoże!

Lecz że rychło wczas było Boże Narodzenie, wszystkie artystyczne zapędy pięknie ładnie artystom z główek wyleciały. Bo to jak na urlopie — któż to myślał, Boże mój,



Efektowne „występi” capstrzykowe

Strzel. z cenz. M. Pożarik.

o rewji? Ciocia Jula pytała, czy szabiki smakowały, a kuzynka Margula znów, czy to prawda, że ten przystojny porucznik ją zna i tak często wspomina. Poza tem różne drobnostki z rejonu „kobieta, wino, śpiew” absorbowały na urlopie więcej, niż niebezpieczne zagadnienie: czy i za co ma nas okłaskiwać publiczność 21-go stycznia?

Gdy więc po powrocie z urlopu zebrały się razem artyści, oczy ich mówiły sobie: „Ja nie a nie, ale ty, Włodek, chyba kupę rzeczy zebrałeś?... A oczy Włodka mówiły to samo, i czarna rozpacz odmalowywała rewjowcom wyrażenie proste a szlachetne pryce pułkowego ula... Lecz ha trudno! Od czego głowy na karku — wracamy do „ora et labora”. I praca poszła.

A więc przedewszystkiem program. Zmajstrowano skecze, monologi, djalogi. Chór rewelersów (t. j. proszę kolegów taki chór, w którym każdy śpiewa coś innego, a wychodzi zupełnie coś innego, przedewszystkiem niż to, co jest w nutach. Tańce charakterystyczne, w których mężczyzna, przebrany za kobietę, tańczy jako dziecko. I jeszcze dużo innych ładnych rzeczy. Tytuł — „Byczo było!” — I plan gotowy. Fajno! Teraz tylko próby.

Bał Próby. Ale niby kiedy? Zamiast ćwiczeń? — niema mowy. W godzinach nauki własnej — też nie, bo rewja rewja, a repetycje są dla wszystkich. Więc — po capstrzyku. I oto zaczynają się cuda. Przygarbiona łajza, nie mogąca rano zrobić kilku skoków w „natarciu z podstawy wyjściowej”, staje się nagle żwawym tancerzem góralskim i zadziwia kolegów ognistymi prysiadami, lub ścią afrykańskim temperamentem w płasach murzyńskich. Inny znów, o bladej twarzy młodzieniec, obrywający srogie O. P. R-y za nieotwieranie gęby, gdy cała kompanja śpiewa — przeobraża się raptem w rasowego rewelersa, który w swem górnym „C” nie czuje się gorzej od Fogga w chórze Dana. A oto znów nieszczyśny celowniczy, konający niedawno pod brzemieniem erkaemu, ze stoickim spokojem i uśmiechem na twarzy dźwiga przez 15 minut 70-kilowego kolegę w próbie obrazku „Tam na błoni”. Słowem co krok — metamorfoza.

Gdy przyszedł 15-y styczeń, numery były wyczelowane, reżyserja gładka, reklamę na mieście robiono subtelną, a mocną, pozostała rzecz jedna — kostjomy. No bo przecież w cywilnej rewji konferencier nie wyjdzie na scenę w pełnym rynsztunku, a chór rewelersów nie może śpiewać hiszpańskiego tanga w fasowanym stroju. Lecz i na to znalazła się rada. Jeden z kolegów ofiarował frak dla konferenciera, drugi znów miał znajomą aktorkę, która mu miała powiedzieć w sekrecie, jak sobie dać radę bez kostjumów — naturalnie jednak trza było z tem wszystkiem udać się do Warszawy, bo przecież listownie — ach, skąd! Wódz nasz nie wahał się, sprawę uregulował i panowie z przepustkami w butonierce pojechali. Towarzyszył im Włodek — reżyser oraz uczucie satysfakcji, że przecie jadą. Co było w Warszawie — nie wiem. Fakt, że Włodekowi ubyło przez dwa dni kilo wagi, a panom po parę złotych z kieszeni i ostatecznie kostjomy znalazły się na czas.

Dzień 21-go stycznia był dla nas dniem tryumfu. Rewja udała się wspaniale. Okłaskiwał nas dowódca pułku i sztab oficerski, i koledzy, i publiczność cywilna. Wódz nasz kręcił tylko głową i uśmiechał się znacząco. Czysty dochód wyniósł ze trzy setki, ale nas radowało przedewszystkiem to, że przy naszych warunkach pracy zaimponowaliśmy i zachwyciliśmy publiczność, przywykłą przecież do wypracowanych przedstawień zawodowych aktorów.

Strzel. z cenz. M. Pożarik.

ŻYWOTNOŚĆ

BYDGOSKIEJ SZKOŁY PODCHORAŻYCH

Bydgoszcz — postój pięć minut — Bydgoszcz... wola bezbarwnym zmęczonym głosem konduktor. Bydgoszcz — ulica Dworcowa, później Gdańska i duży szary gmach, mieszczący w sobie Szkołę Podchorążych dla Podoficerów. Przed paru tygodniami wróciliśmy z urlopu; niektórzy podobno wrócili ciałem tylko, ale to się zdarza i jest zjawiskiem przejściowym. Urlop był długi jak nigdy, bo aż do 6. I. Przywieźliśmy ze sobą świeży zasób sił, nową energję i chęć do intensywnej pracy nad sobą. Lenistwo, które oświadczyło nami na urlopie, wpłynęło dodatnio na naszą psychikę, ma jednak i ono swe walory. Przywieźliśmy ze sobą jeszcze bardziej spotęgowaną dozę zamiłowania do obranego zawodu i wypoczęte nerwy, które muszą być mocne jak postronki przy upręży artyleryjskiej. Z zapalem bierzemy się do pracy. Oto rozpoczęliśmy kurs narciarski, który trwać będzie przez cały luty. Śnieg być musi, mamy przecież poznać piękno gór, rozkoszować się ich urokiem. Tak, to piękne, ale gdzie pożyteczne? Otóż mamy nabyć nieodzowną dla nas żołnierszą umiejętność jazdy na nartach. To też zaprawa prowadzona racjonalnie trwa... narazie na sucho. Więc wyczyniamy najrozmaitsze ruchy, mające później ułatwić utrzymanie się na nartach, jazdę na nich, a może nawet wykonywanie ewolucji. Wkrótce już znajdziemy się w pobliżu stolicy sportów zimowych. Trzy zasadnicze rodzaje broni rozpoznać rywalizację na tym terenie. My, artylerzyści, nie damy się piechocie, która zechce utrzymać prym, kawalerzyści zaś ze swą nieodłączną fanfaronadą, zechcą także jeździć najlepiej. Zaprawa trwa. Przedewszystkiem chodzi o to, by buty dobrze pasowały — „moczyć i smarować, smarować i moczyć” poleca ciągle nasz instruktor. Wyposażenie narciarskie kompletuje się, przybywają ciepłe kaftany, wiatrówki, szale, łapawice, chlebaki, smary i t. p. Podnoszą się głosy „jak też to dźwigać, przecież mieliśmy jeździć w kostjumach kąpielowych”. Tak, tak — ale są i piecuchy, którym wciąż tego mało; chodzi im o to, by jak najwięcej nagromadzić na sobie ciepłej bielizny i swetrów. No tak, to przecież starsi panowie, więc nie dziwnego. Zainteresowanie się tym pięknym sportem rośnie. Ale czy śnieg będzie? Musimy przecież zdobyć odznakę narciarską, bo któż ma ją mieć jeśli nie my właśnie? W tej dziedzinie sportu nie pozostaniemy w tyle. Zostaliśmy pilotami szybowcowymi, przypieiliśmy skrzydła, dlaczegoż nie mamy zostać narciarzami po przypięciu nart. Jeden z kolegów zagadnął mnie w tej sprawie. Wydaje mu się, że uczynił monumentalny wynalazek, wątpie jednak, czy uda mu się opatentować. Otóż mają to być saneczki do umocowania na grzbietach początkujących narciarzy, którzy zechcą ćwiczyć zjazdy. To dosyć wygodne, no i niezłe rozwiązanie sprawy zjeżdżania, które okaże się koniecznem. Lepiej zjechać w ten mniej wygodny jednak pewny sposób, niż na jakiejś części własnego ciała, która później może okazać się wrażliwą do tego stopnia, że uniemożliwi wypoczynek nawet w najmniej wyszukanej pozycji, np. siedząc.

Podczas gdy My, najstarsi, jesteśmy w przededniu wyjazdu na kurs narciarski, młodszy koledzy organizują różne imprezy. Wkrótce wystąpić mają z przedstawieniem, to też próby odbywają się dość często. Zrozumiałe poruszenie wśród braci podchorążackiej wywołało wydane przez Komendę Szkoły zarządzenie przeprowadzenia zawodów w szachach strzeleckich. Intriguje wszystkich zagadnienie, kto też zostanie mistrzem, który z pododdziałów zdobędzie nagrodę przechodnią, ufundowaną przez byłego komendanta Szkoły p. pułk. dypl. Kosseckiego.

Wylonione zespoły w składzie 1 oficer oraz 6 podchor. mierzą swe siły w rozgrywkach. Kto zwycięży, dowiemy się wkrótce.



Patrol narciarski na trasie

Prócz tego jest przecież karnawał, o nim również należy się wzmianka. A więc a propos karnawału — to coś przyjemnego i aktualnego.

Oto Podchorążowie najstarszego rocznika piechoty, kawalerji i artylerji urządzają zabawę taneczną, na którą mają zaszczyt prosić p. oficerów z rodzinami. Tej treści awizo ukazało się w rozkazie dziennym. Godzina 20-ta. Przy drzwiach wejściowych już mienią się lampasy: słonecznikowe, amarantowe i bordo. Podchorążowie krążą, witając i wprowadzając przybyłych gości na salę, by tam oddać ich opiece innych kolegów. Piechota już nie ta szara, ale w gali, artylerja, kawalerja również współdziałają. Współdziałają lepiej może niż w boju spotkaniowem, który odbył się o dzień wcześniej. Zresztą tam była jeszcze broń pancerna, tu jej niema, ale dajemy sobie bez niej radę. Godzina 21-sza. Zaczyna się zaludniać sala Rycerska. Co chwila przed gmachem szkoły zatrzymuje się auto, wyrzucając ze swego wnętrza nowych gości. W sali przeistoczonej na balową wesolo, rojno i gwarno. Tancerzy nie brak. Podchorążowie najstarszego rocznika pełnią rolę gospodarzy, podchorążowie młodszych roczników są w charakterze gości. Przybyłe delegacje są dość liczne. Orkiestra ulokowana w rogu sali jest niezmordowana, dysponuje nią trzech wodzirejów z trzech poszczególnych rodzajów broni. Reprezentują je godnie i tutaj jest porozumienie — następują zgodnie po sobie sentymtalne tanga, zawrotne oberki, jest poleczka, rzewny kujawiak i ognisty mazur. Tańczono wszystkie tańce z równym zapalem i do upadłego.

Mieni się od pięknych toalet pań. Za tło służy czerń fraków męskich.

W dłuższej przerwie artyści teatru miejskiego zgotowali przemilą niespodziankę swojemi występami. Wpłynęło to w znacznej mierze na podniesienie nastroju.

Zabawa wre... płynie melodia... pary wirują... Pod koniec zabawy słyszy się pytania „czy zagrają jeszcze?”, „Ależ naturalnie.” Grają rzeczywiście, tańczących nie ubywa. Godzina 7-ma. Za oknami wstał biały dzień, już noc pierzchła. Noc uniesień, zapamiętania się.

Orkiestra gra „Kiedy ranne...” Podobno jeszcze ktoś chciał tańczyć, nie wiem, może słuch go zawiódł. Sala pustoszeje, odjeżdża ostatnia limuzyna. Tyle wrażeń... a co teraz? O godzinie 10-tej nabożeństwo w kaplicy szkolnej. Stawiliśmy się jak zawsze wszyscy, — jak jeden mąż.

pchr. J. Kamiński.

Głos cudnie odegranej pobudki zwyciężył siłę Morfeusza, której z rozkoszą holdują baloniarzy podchorążowie. Zerwali się wojaacy, odbici uwielbionemu bogowi ze swych ślicznych, mięciutkich, atlasem wybitych tapczanów. I o dziwo — wszędzie gdyńskie tempo ruch a nawet „jedwabna bielizna” nie towarzyszyła, świeżo przebudzonym, w drodze do marmurowej umywalni. Prawdziwa metamorfoza zapanała na pierwszym piętrze naszego pałacu... Dziwi się służbowy obmacując swą głowę przyzwyczajoną do odbierania celnych, pantoflowych pocisków wylatujących zwykle „obrotnym ruchem” z rąk urażonych niedelikatnym zachowaniem się „zwycięskiego trębacza”. Ale dziś nie potrzebuje nawet szczęśliwy służbowy używać gwizdka i gardła, aby tak zwykle niesfornych podwładnych sprosić na modlitwę. Bije się z myślami stojąc przed frontem wyrównanego wojska i wreszcie kalendarz dumnie głoszący datę 21 stycznia, podaje mu przyczynę tych niezwykłości. — To wigilja wybuchu powstania styczniowego. — A więc to dziś podchorążacy artyści będą produkować swe twory przed całym batalionem balonowym. Będą mówić, deklamować, a nawet w prawdziwych kostjumach odtwarzać „scenę więzienną” z „III części Dziadów”.

W dniu tym, nawet na ćwiczeniach, w rękach przejętych artystów widać kartki z rolami. Zrozumieli chłopcy, ważność i doniosłość chwili, dla której jeden — „bohater” waży się na czyn, którego brawurą zajmie się napewno historia. Bohater ów z wysokości „Picarda” na spadochronie gonili wydartą mu z rąk przez wiatr, napisaną rolę. Dopiero w obłokach pechowicie ten chwytą niesforny rękopis i wraca do kosza po linie uwięzi. Nawet podczas tej męczącej wędrówki nie tracił tak drogiego, tego dnia, dla nas czasu i powtarzał natchnione słowa wiersza, które o godzinie 6-ej miał wypowiedzieć przed wypełnioną widownią.

Wreszcie surowy głos Władcy życia i śmierci naszej ustawił wojsko w bojowe dwójki. A podając kierunek „sala akademji”, „marsz”, wprowadził dzielnych, najmłodszych balonowców w artystyczne szranki, spojrzawszy swym gromadnym wzrokiem na skupione twarze artystów.

Za kulisami cudownie urządzonej sceny rozgorączkowane ręce odtwórców „Dziadów” szminkowały twarze i przyglądały cudnie przyklejone wąsy.

Punktualnie o godzinie 6-ej wszedł do zapelnionej sali pan major Kamiński, dowódca 1 Bat. Balonowego dając tem samem sygnał do rozpoczęcia uroczystości. Na scenę wszedł sprężystym krokiem pan porucznik Kotowski, Oficer Oświatowy Batalionu, który zwrócił umysły zebranych do roku 1863, do dziejów zmagania uciemiężonego Narodu z okrutnym zaborcą. Słowa Jego rozwinął jeden z podchorążych piętnastominutowym referatem, uzupełnionym filmem, ilustrującym dzieje Powstania Styczniowego. Opróżnione sceniczne deski zajął znów nasz artysta, który zadeklamował wiersz jednego z kolegów p. t. „Trzy Pokolenia”.

Po krótkiej przerwie nastąpił najważniejszy i najbardziej oczekiwany moment akademii odegranie sceny więziennej z „III części Dziadów”. Odsłonięcie kurtyny poprzedziło przemówienie „głównego reżysera” objaśniające widzom mający się ukazać obraz. Wreszcie na tle więziennej dekoracji ukazują się oczom zebranych więźniowie Nowosilcowa, wspniale odtworzeni przez nagrodzonych brawami podchorążych.

Akademję zakończył chór żołnierski kilkoma starannie opracowanymi pieśniami.

A my, w Toruniu staliśmy się sławnymi artystami, Fenomenalnymi zdolnościami naszymi zainteresowały się wysoko postawione osobistości. Kobiety! Te opuściły nieszczęs-

nych artystów i marynarzy, Ignac „do” uwodzicielskich „zółtych otoków”, których właściciele spotykają się na każdym kroku z figlarnie zwróconymi w ich stronę, roziskrzonymi niebieskimi oczkami.

Toruń

Strzel. z cen. Z. Unger.



W szkole „baloniarzy”

ŁÓDŹ SIĘ ODZYWA.

Długo nie zabierała Łódź głosu na tych łamach. Zapotrzebowanie na własnym rynku uniemożliwiało przygotowywanie czegośkolwiek na export.

Od tego czasu nie zmieniło się wiele na kursie. Wprawdzie staliśmy się już starą wiarą, ale ciągle jeszcze wyglądamy pierwszej belki. Kwaterujemy w koszarach pułkowych, choć już niedługo wyruszymy na obóz, gdzie spędzimy pozostały okres służby. Będzie to może z jednej strony przyjemniejsze, ale z drugiej strony — da się pewnie nieraz we znaki. Brak kontaktu z miastem. Teraz żyjemy ciągle pod znakiem zimowych ćwiczeń, które dotychczas nie mogły się odbyć z powodu sprzyjającej nam niedwuznacznie aury. Oby tak dalej! Prędzej, zdaje się, niż te ćwiczenia dotknie nas służba wartownicza, dla której „ochoczo” niejedną niedzielę trzeba będzie poświęcić.

Nasze życie pozasłużbowe na kursie rozwija się w ramach samorządu, który działa na mocy statutu. Na ostatnim Walnem Zebraniu (z dn. 3.II b. r.) dawny statut, który z biegiem czasu stał się nieaktualny, został zmieniony. Nowy statut wprowadza zasadę centralizacji; wszystkie sekcje, które dawniej pracowały odrębnie i nie skoordynowanie, zostały teraz ujęte w szerokie ramy samorządu. Nad całością potrzeb kulturalnych i wzajemnej pomocy „materiałnej” uczniów kursu sprawuje pieczę Zarząd, który składa się z brygadiera, vice-brygadiera, kronikarza i kierowników poszczególnych sekcji; prezydium zarządu jest stałym łącznikiem między uczniami a dowództwem kursu, któremu przedstawia prośby i życzenia uczniów.

W ramach samorządu znajduje również miejsce koleżeński sąd honorowy, który działa na mocy odrębnego statutu. W pracy społecznej nie ograniczamy się wyłącznie do pracy wewnętrznej, a eksponujemy również nazewnątrz; sekcje nasze przygotowują akademje, wesole wieczory, przemówienia i wykłady oświatowe dla żołnierzy naszego pułku.

A wieczorem, po całodziennym pracy gromadzimy się w świetlicy przy radio, gazecie, papierosiku, by w koleżeńskim gronie pogwarzyć o tem i o owem, przedyskutować prawdopodobieństwo najnowszych plotek kompanijnych. Mamy się teraz w czem wygodnie rozpierać, bo ostatnio do sprzętu świetlicy przybyły nam obok pianina „fotele klubowe”.

Nareszcie! Hurra! Hurra!

Taksówka, dworzec główny, bilet, sześć godzin ścisku w przepelnionym pociągu i — powoli dojeżdżamy do zasypanego całkowicie śniegiem prowincjonalnego miasteczka.

Perspektywa spędzenia świąt w spokojnym gronie rodzinnym, zdala od klaksonów samochodowych, dancinów i całego tego zwarjowanego tempa życia wielkomiejskiego, od sensacji politycznych i dyskusyj na włosko-abisyński temat wydawała się czemś tak doskonałym, że ostatnie godziny pobytu w Warszawie i droga ciągnęły się w nieskończoność i zdawały się nie mieć kresu.

Ale już wszystko szczęśliwie minęło.

Brodaty „jamszczyk” zatrzymał sanki przed domem.

Pierwsze uściski i okrzyki powitania, gorączkowe pytania — tak znane i zawsze jednakowe, a jednak mimoto tak miłe sercu i rozrzucające

Weszliśmy do saloniku.

— Możeś głodny, może herbaty, kawy?

Godzę się wreszcie łaskawie na herbatę i wyciągam się rozkosznie w fotelu.

Pierwsza fala powitań zaczyna pomału odpływać i, jak to zwykle bywa, zapanowuje cisza, aby wybuchnąć potem z jeszcze większą siłą opowiadaniem codziennych trosk małego miasteczka.

Tym razem cisza jakoś przeciągała się, stawała się dziwną i niespokojną. Jedyne miarowe „cykanie” zegara przerywało spokój zebranych.

Poczułem się trochę nieswojo i odruchowo jeszcze bardziej wtuliłem się w fotel.

— A ty za kim jesteś? — przerwał nagle ciszę głos ojca.

Nierozumiałem. Obejrzałem się naokoło. Oczy wszystkich obecnych zawisły na moich ustach.

— Jaktó za kim? — zapytałm nieśmiało.

— Za Abisynją czy Włochami? — krzyknęła histerycznie siostra.

— Ja, ja jestem neutralny — odparłem potulnie, zerkając trwoźnie na stojącą w drzwiach służącą.

W pokoju zawrzało nagle jak w ulu.

— Ha! ha! — ryczał brat.

— Janku! wstydz się! krzyczała siostra.

— Więc cóż? — nie cię nie obchodzi, że gdzieś tam mordują niewinnych, bezbronnych! Że te włoskie djaby bombardują szpitale, kościoły, wioski — wszystko ciebie nie obchodzi, co?! basował ojciec, żywo gestykulując mi przed nosem.

Służąca trzasnęła drzwiami czem wystraszyła kota, który ze zjezoną sierścią wskoczył na stół i groźnie patrzył na mnie swymi zielonemi oczkami.

Ciotka ironicznie uśmiechała się zapalając papierosa.

— Piotrze, Piotrze, spokojniej. — Te włoskie djaby, jak ty ich nazywasz, są błogosławieństwem dla tych brudnych murzynów.

Ach, Mussolini! Mussolini!

Ty, mój drogi, całe życie

przesiedziałeś pod pantoflem, nic też dziwnego, że cię potężny charakter i energia drażnią.

Ach Il Duce mio! Eviva, eviva!

Spokojne początkowo perora ciotki w ostatnich słowach nabrała takiego natężenia że przypominała legendarne trąby Jerycha.

Wejście ciotki do akcji wzmogło hałas wielokrotnie.

Krzyk, powódź argumentów, uszczypliwe uwagi — wszystko to zmieszało się razem ze stukiem krzesel, echem naczyń w kredensie w przeraźliwą kakofonię.

Przerażony oglądałem wzburzone postacie, i nie poznawałem domu, dotąd tak cichego i spokojnego.

W pewnej chwili wymknąłem się niepostrzeżenie i długo, długo jeszcze dochodził do mnie szum burzy z salonu.

Czuję się bardzo źle...

Ojciec z siostrą — fanatyczni zwolennicy Negusa.

Ciotka i brat uwielbiają czarne koszule.

Matka drży o los synów Mussoliniego, a służąca, Agata, powycinała z pism fotografie ministra Hoare i porozwieszała je u siebie nad łóżkiem, pozatem nienawidzi Lavala, którego czyni sprawcą wypadku Hoare na ślizgawce.

Jestem nieszczęśliwy — wszyscy upatryli mnie na arbitra z racji mej neutralności i ciągle powstają z tego powodu trudności dyplomatyczne.

Jak trudne i niewdzięczne jest zadanie rozjemcy przekonałem się wkrótce kiedy matka ogłosiła embargo na alkohol, ojciec wprowadził ograniczenie dewizowe, a ciotka zaczęła rozsiewać wśród znajomych niestworzone rzeczy na temat mego prowadzenia się w Warszawie.

Skończyło się na tem, że znajomi nie poznają już mnie na ulicy: a pewna, miła zresztą, paniuszka oświadczyła:

— Panie Janku, proszę uważać naszą znajomość za niebyłą, muszę dbać o opinię, a pan jest taki... taki niezdecydowany, neutralny... Spodziewałam się... mama też — zresztą zaręczyłam się wczoraj z panem Henrykiem.

Ha! postanowiłem wracać do Warszawy.

Kiedy pociąg ruszał ze stacji, wybiegł nagle na peron jakiś błady młodzieniec, podbiegł do okna mego przedziału i krzyknął.

— Jestem pan Henryk! aha! jestem pan Henryk! Eja! Eja! Eja! — i stał długo wymachując czarną chusteczką.

Oko spłynęło mi łza i zdążyłem jeszcze tylko zauważyć, jak entuzjastę Mussoliniego i mojej znajomej ligitymował poltjant — widocznie abisyńczyk.

pehor. Mustajew.



WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY KANDYDACKIEJ O. R. P. „WILJA”



Już półtora tygodnia jesteśmy zaokrętowani na transportowcu O. R. P. „Wilja”.

Zapoznajemy się z okrętem, wnoszący dużo, uczymy się węzłów morskich i — oczekujemy chwili odkotwiczenia.

Dzisiaj mamy być świadkami przyjazdu Sowieckiej Floty Morza Bałtyckiego do Gdyni. Mają przyjechać — pancernik „Marat” i dwa kontrtorpedowce „Wołodarskij” i „Kalinin”.

Ciekawy jestem niezmiernie jak wyglądają okręty tajemniczej dla wszystkich dzisiejszej Rosji. Może zobaczymy cudy sowieckiej „piatiletki” — może „stare pudła” — niewiem; dotychczas widać tylko dymy na horyzoncie.

To dymi „Marat” — te dymy obok to chyba z kominów „Wichra” i „Burzy”. (Nasze okręty wyjechały rano by eskortować gości).

Są już blisko. Saluty armatnie przebrzmiały — wchodzą do portu. „Marat” — wielka bestja — ale nie nadzwyczajnego. Trudno go ochrzcić mianem — „pudło” — ale do cudów też zaliczyć nie można.

Dzisiaj ma się odbyć bal dla sowieckich gości.

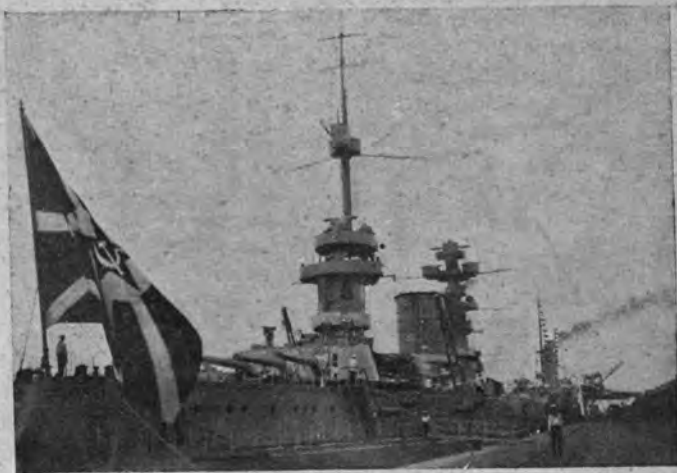
Motorówka okrętowa przywiozła na pokład „Wilji” dwóch rosyjskich oficerów.

Komandor — mały, szczupły; twarz ciekawa, ostra, ściągnięta.

Kapitan — wysoki, bardzo przystojny; wyskoczył lekko z motorówki na trap i napelnił okręt wesołym rosyjskim szczebiotem.

Obiegł jak strzała cały okręt, siejąc wszędzie wesołość; zaglądał do każdego kąta ciekawie i wtedy na jego inteligentnej twarzy odbijało się coś więcej niż zwykłe zainteresowanie.

Staliśmy w zbiroce.



Pancernik „Marat” w porcie Gdynskim

Podbiegł do nas. Iskra nie człowiek! Skłonił się. Umilkł. Młodzianka twarz mu drgała. „Ci panowie mają średnie wykształcenie, gimnazjum — prawda?” — mówił do kapitana okrętu.

A potem do nas: — „Czy mówi któryś z panów po rosyjsku”? (Z szeregu głosy potakiwania).

Szczebiotał więc wesoło: jak to było za jego czasów szkolnych, jak to jego profesor twierdził, że grunt to matematyka, bo to przedmiot najbardziej potrzebny dla marynarza; że on jest tego samego zdania, że... i tak dalej — kaskada śmiechu nie kończyła się: — raptem pytanie:

„a ile to jest $\sin \alpha + \sin \beta$?”

Z szeregu pada dobra odpowiedź.

„ $\frac{\alpha}{2}$ ”

Odpowiedź również dobra.

Rosyjski kapitan podziękował, skłonił się znowu i pobiegł dalej.

Słychać teraz jego śmiech gdzieś od pomieszczeń maszynowej załogi.

Takie dwa krótkie pytania obrazują przecież stan średniego szkolnictwa.

Flota sowiecka dzisiaj odjechała.

Został tylko jeden marynarz, który uciekł z okrętu.

Czy ucieka ktoś z miejsca gdzie mu jest dobrze?!

Wczoraj wieczorem wyszliśmy w morze. Światła Gdyni malały, niktęły, aż w mroku odległości zagaśły.

Zgaśły już dawno.

Ciemność dokoła, cisza; tylko okręt lekko drga od pracy maszyn, tylko śruby rozgarniają z subtelnym szumem wodę, kreśląc błyszczącą smugę — jakby drogę powrotu. Przebudzenie było takie cudowne!

Powitało nas słońce, nieskalany niebem błękit nieba i morze.

Taki przepiękny, prosty obrazek i taka samotność i zadowolenie z niej i takie dziwne zachwycenie.

Tak płyniemy.

Dym ściele się za nami i znaczy daleko, aż do horyzontu drogę, którą przeszliśmy; log wskazuje 120 mil.

Robota pali się w rękach — trzeba przelać w coś tę siłę, którą się czuje w sobie.

Na N. O. do Oulu!

Na pokładzie praca jest przyjemna i lekka. Ano, wiadomo — parowiec. Sprzątnię się pokład — by błyszczał w słońcu, by rzucał złote iskry z mosiężnych części, by był cackiem, pięścidelkiem — ten jeden z nielicznych naszych okrętów

Ciężka robota wre na parowcu pod pokładem.

Tam żyją prawdziwi ludzie pracy!

Mało kto o nich wie — bo eleganccy pasażerowie nie schodzą nigdy do kotłowni,

Też pomysł — zabrudzić się można.

„Chudy literat”, co to „cierpi, męczy się i tworzy” dostałby zawrotu głowy od gorąca, a piękna pani nabawiłaby się

młodości i przez całe życie trapiłoby ją we snach wstrętni, czarni od brudu ludzie.

Zresztą pasażerowie i na pokładzie cierpią na młodości. Do kotłowni schodzi się po stromych, żelaznych prętach. Skrzy się tam mała żarówka, która tonie w tumanach węglowego pyłu.

Praca jest prosta i żadnego wysiłku mózgowego nie wymaga.

Potrzebne są tylko mięśnie, wytrzymałość, zaciętość i pewna doza humoru.

Praca powtarzam jest prosta: z bunkrów spadają ogromne bryły węgla; trzeba je tedy rozłupić na drobne kawałki; stąd pył węglowy, stąd bolesne, krwawe stwardnienie rąk, stąd rany od węglowych odprysków.

Oczy lżawią się i szczypią, gardło zapycha się czarnym błotem.

Tym potłuczonym węglem trzeba naładować piece.

Zmiana w kotłowni liczy pięciu ludzi. Starszy zmiany dozoruje robotę.

Po dwóch ludzi przypada na trzy piece.

I teraz praca jest bardzo prosta: osobnik, który przedtem tłukł węgiel (ta funkcja przypada w udziale nam na każdorazowej służbie) chwytą za gorący rygiel drzwiczek pieca, otwiera je i wypuszcza nazewnątrz całe piekło żaru.

Drugi, ociekły potem, zziąjany wrzuca łopata węgiel do otworu w piecu.

Powstaje taki djabelny rytm: otworzyć... wrzucić... zamknąć... otworzyć... wrzucić... zamknąć... — a gorąco otumania, a pot zalewa oczy, a ręce pieką w dotyku z gorącym żelazem, a... otworzyć, wrzucić, zamknąć... — kiedyż to się skończy do pioruna... otworzyć...

Denerwuje mnie ten palacz. Wygląda jak djabeł; twarz czarna, podkreślana jasnymi smugami czystej skóry, którą obmyły z węgla strugi potu.

Stoi wśród żaru największego i czerwony jest od odbłyśków ognia.

Pracuje wśród tego piekła za trzech, za dziesięciu; macha łopata jak warjat, upada prawie ze zmęczenia i — śpiewa.

Płynię z ochryplego od gorąca gardła taka dziwna piosenka; niewyszukana w melodji i treści, taka prosta, a łapiąca mocno za serce.

Pod rytm — otworzyć... wrzucić... zamknąć... — wibruje w powietrzu takie narzekanie na dolę i niedolę, bucha buńczucznie wesołość polek, oberków, mazurów, tli się tęsknota chłopska za krakowską ziemią. Tematy się zmieniają raptownie — dziwna piosenka piekielno-niebiańska.

Obchodziliśmy co dziesięć minut swoje trzy piece, tłukliśmy w międzyczasie węgiel, wygarnialiśmy ohydnie cuchnący popiół, — a on śpiewał, śpiewał i śpiewał.

Gdy przerwa była dłuższa i „starszy” zmiany brał ogromny pogrzebacz do „szlakowania” wtedy siadaliśmy na kupie węgla i mój towarzysz — palacz opowiadał swoje tęsknoty.

Wśród ogłuszającego, metalicznego łoskotu żelaza, którym wybija „starszy” z rusztów węgiel, w czadzie i pyłe węglowym, w 50-cio stopniowym gorącu — płynie taka prosta chłopska opowieść: występuje z wojska nie dlatego, że praca mu ciężka — on pracę kocha! Ot jest mu poprostu za ciasno. Od młodości był zapalonym turystą, włóczył się po całej Polsce, śpiewał, grał, żył jak cygan, bez grosza w kieszeni, bez koca pod głową.

Ma w domu w Krakowie własny kajak i szczyć się tem jak dziecko. — A teraz zbiera pieniądze, będzie pracował. w cywilu, będzie głodował, ale... dopnie celu!..



M. S. „Piłsudski”

Twarz mu się ściągła poprzeczną zaciętą pręgą, potem spojrzął na mnie jakoś nieufnie — bał się może, że nie zrozumie, że wyśmieję...

Nie pytałem, o nie...

Wtedy, jakby w zawstydzeniu dokończył: „kupię sobie własny jacht”.

Nie śmiałem się.

Zrywaliśmy się już rażno do pracy.

Śpiew podnieca i rozwesela.

Znowu kolejka trzech pieców, tłuczenia, wygarniania popiołu.

A potem takie zmęczenie, taka niemoc.

Człowiek opiera się o ścianę i patrzy na te rozplątione w odbłaskach postacie, na te proste głowy w czapach palaczy i patrzy na ich ogromny wysiłek wśród śpiewu — i zaczyna odczuwać głęboki szacunek dla pracy tych ludzi, którzy budują nową Polskę na morzu!

Trzeba iść na „pół czarnej” — bo tak jakoś dziwnie robi się na duszy.

Czarna lura w brudnej, zawęglonej i zaoliwionej łyżce smakuje najlepiej w kotłowni.



NA CZARNYM ŁADZIE

Mamy na pokładzie kilku „pasażerów na gapę”. Są to trzy zwykłe wróble.

Wylazły skądś skurezone, wygrzały się w słońcu i skaczą teraz wesoło po spardecku.

Zamknęliśmy kota okrętowego w łazience, bo okazywał zupełny brak wychowania wobec tych biedaczków.

Wszyscy opiekują się czule — ptaszynami. Takie dorosłe chłopcy, a bawią się z nimi jak dzieci.

Ano bo to niby jedyna żywa pamiątka z Polski.

Jutro mamy ujrzeć brzegi Finlandji i zakotwiczyć w Uleaborgu.

Zacznie się tedy wesołe portowe życie. Zacznie się beztroskie życie marynarza-łazika, co to „dolarów pełno ma w swym worku” i „w każdym porcie narzeczoną” i wiele innych rzeczy z których korzysta.

Pogoda jest ciągle przesłizna.

Słońce wstaje z za bezmiaru wód czyste, jasne, nieskazitelne.

Spokojnej powierzchni morza nie ma; drgania ledwie subtelnie fałdują ją lekko w srebrne, iskrzące zmarszczki.

W powietrzu cisza. Cóż ją może zakłócić?

Głos człowieka? — tonie w przestrzeni; krzyki mew? — są krótkotrwałe, a zresztą daleko od brzegu i mewę trudno spotkać.

Jest tedy cichość.

A dym się ściele i ściele za nami.

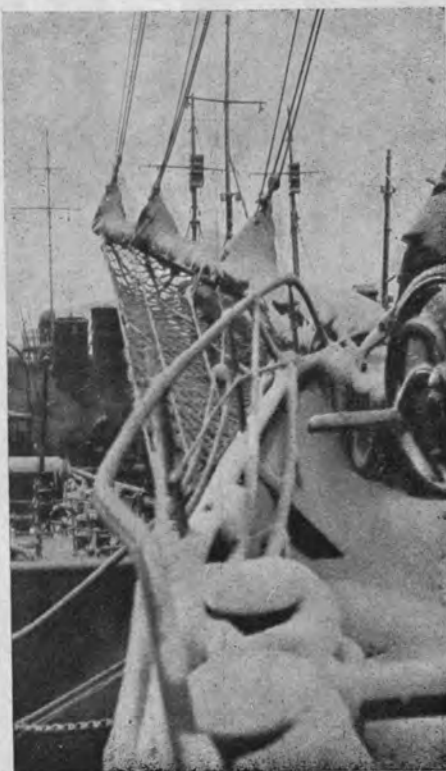
Słońce zachodzi czerwone. Zmrok trwa w tych stronach długo.

Minęła godzina, dwie, trzy od zachodu, a jeszcze morze mieni się krwawo.

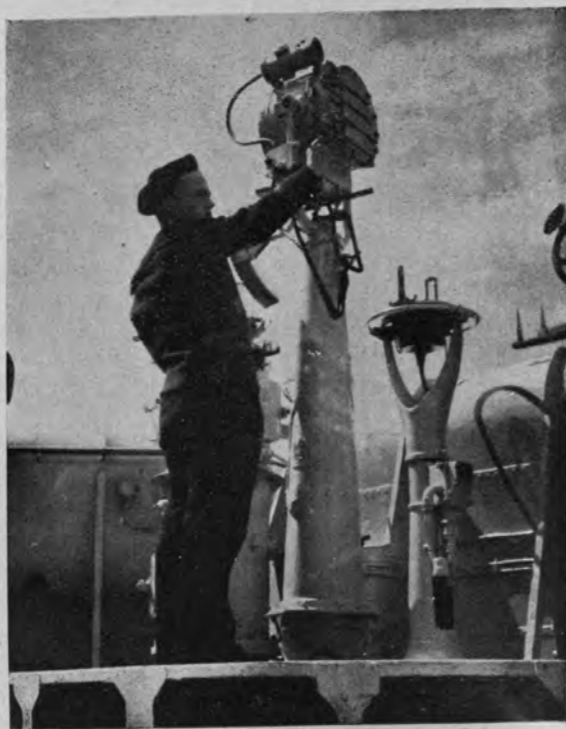
Staje się noc.

Gwiazdy wstają — po wodzie ściele się srebrna droga do księżycy.

* * *



W zimowym śnie



Rozmowa na odległość

Zacząło się to na sześćsetnej mili od Gdyni.

Rankiem powiał silny „bajewind” i morze raptem „zbałwanilo”.

Na tej to sześćsetnej mili morze stało się tak wzburzone, że (z przejedzenia) zapadliśmy w taką intymną marynarską chorobę i bez zbytniego zainteresowania powitaliśmy obce brzegi państwa, którego nazwa ślicznie brzmi — Suomi.

A skrawek lądu zbliżał się i zbliżał.

Widać już było latarnię fińską i fińskie domki i fiński piasek i drzewka fińskie.

Wtedy, na prawym foku załopotana żółta flaga w niebieskie pasy, która w międzynarodowym języku żeglarskim oznacza: „pożądamy pilota”.

I przybył pilot; nieodrodnym synem Nurmiego, łysy jak i on.

Wgramolił się po sztormentrapie na okręt.

Wpłynęliśmy w wąskie, fińskie fiordy.

Z prawa i z lewa widać było lasy obcej krainy; takie ciemne, świerkowe lasy, tonące we mgle.

Morze błękitnawe, ciemna linja brzegów, okręt i my na okręcie — mały polski światek, rzucony w obce strony.

Tak płynęliśmy.

Aż zdala od przodu ukazał się nowy brzeg i kilka kominów fabrycznych, skrawek drewnianej przystani, piramidy zgiętych drzew — to już Oulu.

Stanęliśmy na redzie obok jakiegoś fińskiego drewniaka.

Poco stanęliśmy na redzie?

Może port był za płytki, a może władze fińskie obawiały się gromadnego wypadu przybyszów znęconych wdziękiem finek z Oulu?

Jeśli to drugie było powodem tego „stanięcia na redzie” to zapewniam Was czcigodni Rady i Ławnicy miasta Oulu, że obawy Wasze były nieuzasadnione.

Nie wiedzieliście zapewne panowie o tem, że wszyscy z natury jesteśmy tak skromni, „iż” każdy z nas wstydziłby się w oczy spojrzeć kobiecie, a już wcale niedwuznaczoną propozycję uważałby za coś bezwstydnego — słowem ręczę!

Przyjmowano nas w Finlandji nadzwyczaj gościnnie.

Przybycie „Wilji” stało się sensacją dnia. (Polska bandera wojenna poraz pierwszy zawitała w te strony).

Wszystkie gazety poświęciły całe pierwsze strony opisowi przybycia.

Zorganizowano już przedtem program przyjęcia. Zaczęły się tedy wycieczki krajoznawcze, przyjęcia, zabawy.

Na ląd wyszli wszyscy. Wróble też.

Holownik dowiózł nas do mola.

Dalej droga była wąska, piaszczysta i biegła nad wodnym kanałem.

Nad tym właśnie kanałem leży Oulu.

Dziwnym jakimś trafem dotarliśmy do miasta pod hotel, w którym miała się odbyć zabawa.

Mówię „dziwnym trafem”, bo znajdowaliśmy się przecież wśród obcych i, mimo, że Finlandja słynie z kultury — to w czterech językach (rosyjskim, niemieckim, angielskim i francuskim) w żaden sposób porozumieć się nie było można.

Zagranica.

Miasto piękne, zadrzewione i czyste.

Pozatem wszystko takie same jak u nas.

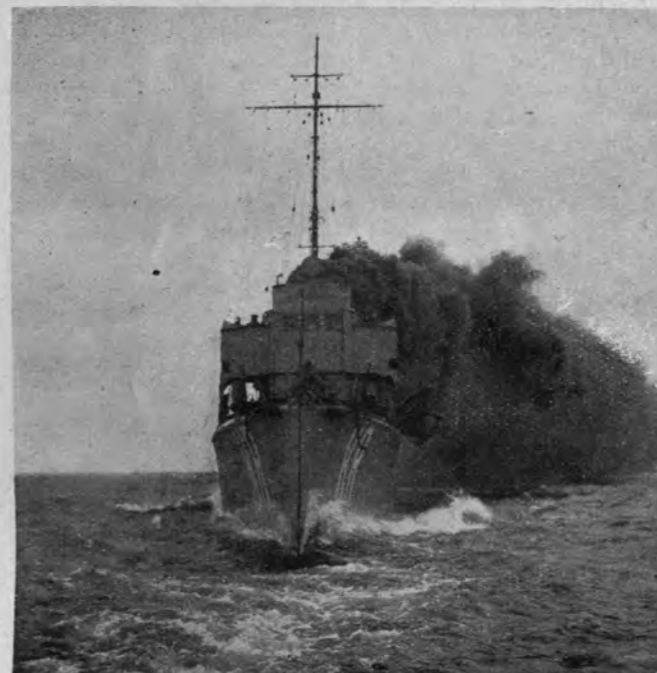
Portjer hotelowy wskazał nam drogę (z uszanowaniem) — i po bogato rzeźbionych schodach weszliśmy do apartamentów.

Tu (mówiąc stylem gazetowym) oczom naszym przedstawia się miły widok.

Sala była piękna i podłoga błyszcząca blaskiem stu świec, które w nią wtarto.

„Zaludnienie” przedstawiało się bardzo korzystnie (dla nas).

Dym ściele się za nami...



W śnieżnych okowach



Było tam (nie przesadzam) ze sto niewiast i dziesięciu marynarzy.

Biedaczki! Siedziały naokoło na krzesłach i niecierpliwie przebierały nóżkami (w takt orkiestry, która grała coś fińskiego, co jednocześnie przypominało foxtrotta i walca).

Nasi marynarze bohatercko poszli w tany; a tańczyli tak po polsku, tak hucznie, buńczucznie, z przygwizdywaniem i przytupem.

Oczywiście wzbudzało to wszystko sensację wśród fińnek, które, nie wiem czy z radości, czy z podziwu, krzyczały w niebogłoso.

Stroje były dowolne.

Począwszy od przesadnie wydekoltowanych marynarzy, a skończywszy na damach, zakutych w białe kołnierzyki — wszyscy bawili się znakomicie.

Nastrój był przepiękny.

Można było słyszeć jak jeden marynarz prowadzący damę, mówił do drugiego marynarza, także obciążonego tym balastem.

— Aleś pudło złapał!

Ona się uśmiechała zadowolona, kombinując, coby te słowa znaczyć mogły.

Dochodziła zapewne do przekonania, że to była pochwała jej piękności, bo ten marynarz, bestja, tak się czule uśmiechał przytem i takie miał oczy wielbiące.

(A zresztą ta kobieca zarozumiałość).

Nastrój był wesoły!

Śpiewali marynarze takie przepiękne piosenki, jak:

„Marynarz to szczęśliwy chłop”

„Morowa marynarska wiara”

„Piękne jest życie pirata. Hej! Ha! Hil!”

i t. p. i t. p... i t. p...



Obserwujemy igraszki mew...

Śpiewały tubylki — też zapewne coś w tym rodzaju, wzajemnie nagradzano się brawami — był rwetes, a to grunt.

Był też występ naszego śpiewaka (solowy). Śpiewak miał głos trochę przepity — cóż to szkodzi — Finki wzięły to za swoistą „szelestność” polskiej mowy, a zresztą nastrój był tak wesoły.

Na gorze bufet był darmowy, więc wszyscy pili na dole, bo to i darmo pić (dużo) nie wypada i niżej wybór był lepszy.

Fińskie trunki idą do głowy, więc każdy stał się tak zadowolony ze swego radosnego żywota i tak wdzięczny wszystkim za wszystko, że zaczęło się swoiste polskie „podrzucanie do góry” i „wiwatowanie”.

(Ten fiński chudy oficer będzie tę zabawę pamiętał przez całe życie i nazwie zapewne polaków najgorętszym narodem na świecie.)

Towarzystwo było mieszane (każda bez wyjątku „ou-lanka” chciała mieć swego marynarza).

Jedne z „dam” pachniały wyraźnie kuchnią, drugie taniemi perfumami, trzecie wreszcie pachniały wcale wytwornie.

Ten mój podział na podstawie narządu powonienia — potwierdziła ustnie „moja partnerka”, która znała język niemiecki, więc można się było od niej tego i owego dowiedzieć.

Ta „moja partnerka” była uczennicą tutejszego gimnazjum i nosiła piękne imię Iza (żółta flaga z czarnym pieprzykiem).

Na fali



Rozmowa nasza była bardzo interesująca. Ona była dość pojętna i przy moich wybitnych zdolnościach pedagogicznych, nauczyła się liczyć po polsku do pięciu na palcach (Bóg mi świadkiem, że chciałbym powiedzieć „na paluszkach”, wybaczy mi świat niewieści — mówię poważnie; ta dama miała palce).

Nastrój był serdeczny — i tej fińskiej serdeczności nigdy nie zapomnę i w śmiech nie obrócę, zbyt była szczerą!

Mile byliśmy zdziwieni, gdy finki zaimprovizowały chór i zaśpiewały nam — „Tangollitę”.

Skąd one znają tę melodię?

Zaniosło ją na daleką północ Polskie Radio.

O, Finlandzycy najchętniej „łapią” Warszawę, a najbardziej podoba się wszystkim wieczorna muzyka lekka.

Poraz ostatni stoję na molo i żegnam wzrokiem tych ludzi i te stopy drzew i tę zieleń jasną i domki ciemnoczerwone i kanał i brzeg i całą ziemię fińską.

Dzisiaj odpłynęliśmy.

Tam daleko na północy, fale z cichym szumem uderzają o brzeg, kołyszą napewno wielką, czerwoną boję, która wskazywała nam drogę do miasta i zacierają ślady wydeptane przez nas na piasku.

Miasto stoi piękne i ciche — takie śliczne północne osiedle... Uulu — Uleaborg.

I znowu długi tydzień w morzu.

Praca na okręcie, wachty, czyszczenia, apele.

I te odpoczynki, podczas których leży się w błogim pół-snie na kali i obserwuje się bezmyślnie jak lecąca w górze mewa strzela, z wrodzoną tylko tym ptakom złościwością, w lecącą w dole mewę, a niewycelowawszy, (bydłę jedno a nie ptak) brudzi okręt.

Kto go potem czyści — ma się rozumieć my.

Po którymś tam dniu podróży wpłynęliśmy do Sundu.

Minęliśmy Kopenhagę.

Nocą zrobiliśmy zwrot i Beltami powróciliśmy na Bałtyk.

Potem kurs na Tallin.

Pogoda nadal piękna. Znajdujemy się gdzieś na długości Rugji.

Horyzont czysty i wyraźny. Dymy tylko jakieś... coś za dużo u pioruna tych dymów...

Jeden, dwa, trzy i — jeszcze więcej. Już widać przez lornetkę. To wojenne okręty, Niemcy... manewry floty chyba.

Ciekawe będzie widowisko. Trzeba tylko trochę poczekać. zbliżą się.

I doczekaliśmy się. Przedelfilowała przed nami cała prawie niemiecka flota.

Osiemdziesiąt jednostek.

Taka siła — mój Boże!

Tak jakoś się smutno robi, tak ciśnie coś w okolicy serca.

Gdybyśmy tak... my... tyle mieli; co tam tyle — pół tego

O Boże! Spraw, aby społeczeństwo bacniejszą uwagę zwróciło na sprawy morskie, żeby ten szary Bałtyk wlał się każdemu do krwi, żeby go pokochały dzieci polskie i żyły nim jak częścią, jak koniecznością swego istnienia!

I defilowały przed nami: „Deutschland”, „Leipzig”, „Schleswig-Holstein”, czeredy torpedowców, trawłów, łodzi torpedowych.

I patrzyliśmy na to wszystko takim oniemiałym z bólu wzrokiem i żarła nas taka zazdrość i jakaś złość — niewiedomo na kogo.

O Boże, daj, aby każdy Polak poczuł, że morze to przyszłość, że morze to potęga.

Przeplynie. Pozostała po nich fala ogromna, która rzuca nami niemilosiernie i dalekie dymy na horyzoncie.

Wróble wylazły dopiero teraz ze swoich schowków.

Musiał się bydłaki upić w Uleaborgu i spały dotąd.

Mądre łobuzy; po pijanemu trafić na okręt i nie przespać chwili odkotwiczenia — no, no — zupełnie marynarski charakter... słowo daję.

W niedzielę rankiem ujrzeliśmy wieże Tallina.

Port duży, ładny, ale stary.

Stoimy tu pięć dni. Każdy dostał „mnóstwo” koron estońskich.

Wychodzimy na ląd.

Tallin — piękne, stare miasto, podobne do naszego Wilna.

Takie same wąskie uliczki, takie stare kościoły, podziemia, parki na wzgórzach.

Góruje nad miastem stary poważny zamek prezydenta. Dookoła niego ciągną się ulice rojne i gwarne, te same ulice, które chodziliśmy codziennie, te same ulice, które rozbrzmiewały wtedy krzykami: Polacy... Polacy!

Witano nas tak serdecznie.

Pamiętam jeszcze jak każdy przechodzień sylabizował z trudem jak dziecko napis na naszych czapkach:

„Ma-ry-nar-ka wo-jen-na”.

Pamiętam jak raz z tłumy wyleciał mały, skromnie ubrany chłopczyk i krzyczał z dumą:

„Ja też jestem Polakiem”.

Taki kochany bęben.

Zaprowadziliśmy go do sklepu i wsadziliśmy mu pręmo w ręce wielkiego konia z drzewa i torbę cukierków dla siostrzyczki i paczkę papierosów polskich dla ojca, który jest tu robotnikiem.

Niech ma małeć pamiątkę po rodakach.

Polaków można spotkać w Tallinie na każdym kroku.

Wypytyują aż do znudzenia o najdrobniejsze szczegóły:

— A co słysząc w Warszawie?

— A co w Wilnie?

— A czy to prawda że Gdynia jest taka duża i czy naprawdę mamy własną marynarkę?..

— Ot takie dziecinne pytania.

A najwięcej to są dumni ci nasi rodacy z polskiego lotnictwa i polskich jeźdźców.

Mówili, że na zawodach hipicznych w Tallinie płakali wszyscy z radości, gdy zagrano „Jeszcze Polska nie zginęła” dla zwycięzców.

Pod przewodnictwem rodaków poznawaliśmy Tallin: — stare i młode zabytki.

W którymś tam dniu wędrowki po Tallinie zaszliśmy na dworzec. We wnętrzu dworca, jak zwykle, kiosk z gazetami, kasy biletowe... zaintrygował nas jeden szczegół: na stolyczku drewnianym stał model łodzi podwodnej nad nim skarbonka i estoński napis.

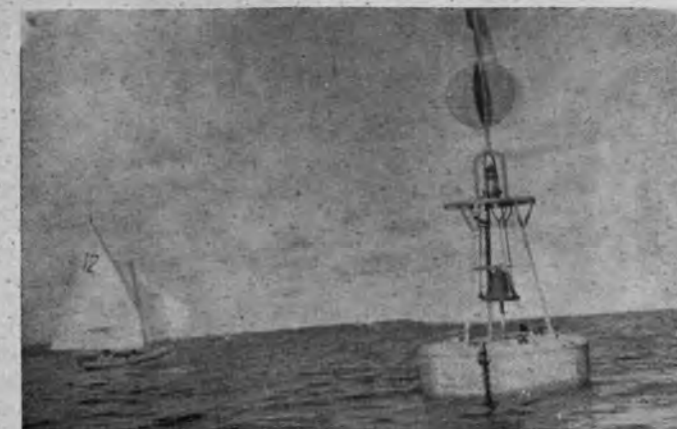
Od jakiegoś eleganckiego pana dowiadujemy się, że to jest zbiórka na estońską łódź podwodną.

Każdy z nas, bez słowa, wyjmując portmonetkę z kieszeni i wrzuca całą zawartość polskich pieniędzy do środka skarbonki.

Na twarzy estończyka maluje się zdumienie.

Odchodzimy.

Piękne to były dni.



„Drogowskaz” morski...

Codziennie wieczorem tylko wróble i wachta były trzeźwe na okręcie.

Mógłby ktoś potępić załogę za zbyt rozmyślanie się w alkoholu.

Gdzież tam! Załoga (sam to stwierdziłem) odczuwała wprost fizyczny wstręt nawet do tak doskonałej wódki jak estońska żytniówka (1 liter płaci się 1 koronę 30 centów), ale czyż można się oprzeć serdeczności estończyków?

Jeden z naszych marynarzy to tak już poczuł się estończykiem że wróciwszy („pod gazem”) z lądu, — miast zameldować swój powrót, prosił uprzejmie podoficera służbowego o pozwolenie zwiedzenia okrętu.

Też kawalarz — co?

Wszystkie cudy Rewla pozostały za nami.

Przed nami rozciąga się znowu bezmiar morza.

Tam daleko za horyzontem pracują bezustannie potężne krany Gdyni, a jeszcze dalej zasypia Warszawa.

Do Gdyni przyjechaliśmy wszyscy zdrowi i cali — wróble też.

Powitała nas radosna nowina.

Spuszczono na wodę nowy polski trawler „Jaskółka”, całkowicie polskimi siłami zbudowany, a we Francji wbito pierwszy nit pod budowę polskiego stawiacza min „Gryf”.

Zaczynamy od tworzenia trawlerów, a potem polskie budownictwo okrętowe doścignie polski przemysł lotniczy, najdoskonalszy w świecie.

Daj Boże.

pehor. Łukanowski.

S. P. Mar. Woj.

Po wodzie ściele się srebrna droga do księżycy...



Dr. Edward Stenz — Ziemia — Wydanie „Mathesis polskiej” — Warszawa 1936 r.

Nadzwyczaj pożyteczne wydawnictwo dzieł naukowych „Mathesis polska” wydało nowy cenny tom poświęcony Ziemi. — Praca dr. Stenza zasługuje na szczególną uwagę stanowi bowiem jedno z b. niewielu dzieł opisujących Ziemię nie z punktu widzenia geografii czy geologii — lecz geofizyki. Jak określa autor w swej przedmowie — Ziemia w jego ujęciu „to cały glob planetarny wraz z jego tajemniczym wnętrzem, wraz z omywającymi go wodami i otulającą powłoką powietrzną. — Ziemia — to ciało niebieskie na które spoglądamy nie tylko z jego powierzchni, którą zamieszkujemy ale także z perspektywy kosmicznej”.

Badając w ten sposób fizykę ziemi autor omawia szczegółowo tak niezmiernie doniosłe i podstawowe zagadnienia jak paradygmaty Ziemi, jej młodość, oddzielenie się księżycy, przyciąganie ziemi i t. d. Następnie zajmujemy się fizyką globu ziemskiego, fizyką mórz oraz atmosfery.

Tu znajdujemy m. in. opis tak niezmiernie interesujących zjawisk jak działanie wulkanów, trzęsienia ziemi, przesuwanie się kontynentów, gry fal morskich, chmur i deszczów, elektryczności atmosferycznej i t. d.

Na zakończenie autor przedstawia nam wizję starości i śmierci ziemi. Może ona nastąpić przez „normalne wyżycie się ziemi” — śmierć ciepłą przez wystygnięcie ziemi, lub też przekształcenie i skurczenie się słońca co spowodowałoby obniżenie temperatury na ziemi do 200° poniżej zera.

Czytelników ciekawych przyszłego losu ziemi i naszych praprawnuków odsyłamy do książki dr. Stenza przy czym podkreślamy, że książka ta dzięki prostemu ujęciu, popularnemu choć głębokiemu wykładowi jest dostępna nawet dla laików a czytelnikom zapewnia maximum korzyści i zadowolenia.

— o —

Marja Leszczyńska-Mittelstaedt. Frateco. Powieść. „Rój” Warszawa, 1936.

Idealista dr. Anders przeprowadza ciekawy eksperyment. Na okręcie „Frateco” — po esperancku: braterstwo — gromadzi kilkaset dzieci wielu narodowości, by je wychować w kosmopolitycznej ideologii ogólnoludzkiego humanitaryzmu. Nie starczyło jednak czasu na doczekanie wyników pracy wychowawczej, gdyż podczas burzy „Frateco” tonie u brzegów Grecji. Spośród pasażerów i załogi uratował się tylko jeden chłopiec. Dzieje Frateca — tak nazwanego od imienia okrętu — wypełniają obszerną powieść. Mały chłopak wędruje z cyganami przez Albanję i Jugosławję, zaznając różnych przygód, potem znajduje możnego opiekuna w osobie starego Żyda. Pod wpływem przyjaciela-biskupa chłopiec zaczyna myśleć. Po fazie wewnętrznego buntu i sympatyj komunistycznych następuje przełom. U grobu Chrystusa w Jerozolimie Frateco odkrywa wielkość chrześcijaństwa i w tej idei odnajduje istotny sens i cel życia.

Istotę książki stanowią nie skomplikowane perypetie Frateca, ale liczne dygresje i refleksje o charakterze społecznym, politycznym i kulturalnym, jakimi skwapliwie i na każdym kroku raczy nas autorka. Wiele jest tam uwag słusznych, a w każdym razie pobudzających do myślenia. Książka może stanowić doskonały przedmiot dyskusji i na tem polega jej główna wartość.

Marja Kuncewiczowa. Cudzoziemka. Powieść. „Rój”. Warszawa, 1936.

Najbardziej dojrzała i wykończona zarówno pod względem [psychologicznym jak i artystycznym — książka Kuncewiczowej.

Staranna i piękna forma języka, głęboko intuicyjne wczucie się w psychikę bohaterki, świetnie podchwyczone i w granicach artystycznie skończonych przetworzone stany rozdzielenia neuropatycznego osobowości bohaterki — składają się na to, że „Cudzoziemka” jest nie tylko jedną z nielicznych wartościowych książek — ale że mamy przed sobą dzieło istotnego talentu literackiego, dojrzałe i skupione zarówno w treści jak i w formie.

„Cudzoziemka” jest dziwną książką — o ile wogóle takiego określenia można użyć w stosunku do książki — dziwną nie tyle przez sam temat — ile o sposób podejścia doń i rozwiązania go — zresztą mistrzowskiego. Życie bohaterki przedstawione jest niejako od końca — niemal że od ostatniego dnia jej życia — ku czasom młodości. W „Cudzoziemce” czynimy skok w przeszłość przeżyć bohaterki a nie jak zwykle — w przyszłość. To oglądanie życia „sub specie aeternitatis” jest niezwykle i dziwnie niepokojące — ale jednocześnie wiele miłe.

Powiązanie w powieści silnie a jednak subtelnie pierwiastka grozy i dziwności osoby bohaterki ze stanowiskiem nakazującym czytelnikowi podświadome, współczujące i bliskie uczuciowo ustosunkowanie się do niej jest oznaką dużego talentu literackiego, dojrzałości pisarskiej i istotnej wartości książki.

— o —

Adam Królikiewicz — Jeździec i koń w terenie i w skoku. Wydanie Głównej Księgarni Wojskowej. Warszawa 1936.

Któż z nas nie podziwiał na zawodach hipicznych mjr. Królikiewicza jednego z najlepszych naszych jeźdźców, zwycięscę na torach zawodów w kraju i zagranicą. — Lecz mjr. Królikiewicz to nie tylko znakomity praktyk, lecz i doskonały teoretyk i znawca sportu jeździeckiego. Dowodem tego jest ostatnia praca, w której dzieli się z czytelnikami swym długoletnim doświadczeniem oraz poglądami włoskich sfer jeździeckich co do metody przygotowania jeźdźcy do skoku. Metoda ta polega na wiedzy, cierpliwości i stopniowaniu wysiłków oraz umiejętności wytworzenia wzajemnego zaufania między jeźdźcą i koniem bez użycia siły i gwałtu. Należy poznać zwierzę, zgłębić jego psychikę, postępować z nim łagodnie. Zasady te — proste napozór — nasuwają dla jeźdźcy niewprawnego, mało doświadczonego, niecierpliwego i nerwowego nieraz duże trudności, wskutek czego pomija się je lub grzeszy przeciw nim, psując i narowiac konia.

Poglądy swe autor rozwinął szczegółowo w niniejszej książce, mającej charakter podręcznika dla oficerów broni konnych i jeźdźców sportowców i zawierającego cenne wskazówki, dotyczące psychologii, taktyki i techniki skoków oraz naukę jak należy pracować nad sobą i koniem aby należyście pokonywać teren i przeszkody. Książka zaopatrzona jest szeregiem b. interesujących ilustracji.

Pomimo ściśle fachowego tematu podręcznik ujęty jest lekko i popularnie, dzięki czemu czyta się go z dużym zainteresowaniem. Ze stron jego przebija postać autora: jego głębokie znawstwo i umiłowanie tematu i konia.

Przedmowę do książki napisał gen. Wieniawa Długoszowski.

Nieszczęścia chodzą, jak wiadomo, po ludziach, a małe przyczyny rodzą wielkie skutki. Mała kropla wody spowodowała wielką rdzę na karabinie, a ta znów — 3 dni „lekkiego”.

Gdy się o tem w rozkazie dowiedział, niebardzo się przejąłem. Ot, myślałem, poznam nowy kawałek wojskowego życia. Niestety poznałem go aż za dobrze!



Dnia następnego, w porze wieczornej — interesujący pochód paradował ulicą koszar. Na przedzie elegancka sylwetka w płaszczu bez pasa (o hańbo! o wstydzie!) — furazjerka na prawem uchu, koc pod pachą — to ja. Z tyłu o trzy kroki mój opiekun, strzelec służbowy z marssem na obliczu i podpinką pod brodą — pozatem mój serdeczny przyjaciel.

W takim szyku odbyliśmy promenadę przez koszary, ścigani złośliwymi uwagami. Za bramą szyk zmienił się na bardziej familijny. „Opiekun” zbliżył się do „pupila” i zaczął kląć na fatum, które mu kazało serdecznego druha prowadzić do „paki”. Przy okazji delikatnie zasięgał rady, w jaki to mianowicie sposób ma mnie zameldować u profosa aresztu. Był biedak więcej stępowany, niż ja — delikwent. W harmonji dotarliśmy do uroczego położonego domku, gdzie mieści się areszt.

Tu przyjął nas profos — interesująca postać o tak sympatycznym wyrazie twarzy, że przyrzekłem sobie w duchu większą wagę zwracać na czystość karabinu.

— „Zdjąć płaszcz i owijacze, wypróżnić kieszenie!” — Niezwykle rozkaz wypełniłem w mgnieniu oka. Zgrzyt klucza w zamku i zamknęły się za mną drzwi złotej wolności.

Ciemna izba, kraty w oknie, wielka pryzma pod ścianą — na niej cztery skulone postacie. Przedstawiam się towarzyskom niedoli, trzem strzelcom z cenzusem i jednemu bez — każdy skromnie chwali się swymi czynami, które go tu przyniosły. Strzelcy z cenzusem wspominają przy tej okazji zbyt wesoły powrót z pierwszego wyjścia na miasto. (Najpierw wódeczka, potem usteczka...)

Powoli mijają chwile, żalonna lampa coraz to bardziej waleczy z mrokiem późnego wieczoru, rozmowy milkną, robi się nastroj pod psem.

Nagle drzwi się z trzaskiem otwierają, słychać rozkaz „Przygotować się do snu, oczyścić buty, pozamiatać izbę! Już wszystko było w porządku, gdy oto czujne oko profosa ujrzalo na podłodze maleńką słomkę.

— Po szcztolki biegiem marsz!

Robimy potężny skok do jednej miotły.

„Wróć! Po szcztolki biegiem marsz!”

Za piątym dopiero „wróć” domyślił się. Biedne wy nasze fasowane szcztolki! Dotąd czyściłyście tylko buty, dziś szorujecie twarde deski aresztanckiej podłogi!

Wreszcie nasza praca znalazła uznanie profosa. Na ławie w korytarzu pięć „kostek” z ubrania. Tak równych jak pięć wstawionych zębów, przed nimi pięć par butów świeci się jak ozdóbki na choinkę.

Na deskach przyzyt leżą sienniki. W każdym z nich pięć słomek w osmiu rzędach, abyśmy przypadkiem nie spali zbyt wygodnie i nie nabrali ochoty do zbyt częstego zaglądnania do paki.

Przed łóżem pręży się białe postacie. Następuje sprawdzenie, czy kto pod niepokalaną (!) białą koszulą nie ukrył swetra lub innego zakazanego ogrzewacza. Niema przecież mrozu, jest aż 8° powyżej zera. — Wprawne ręce profosa obejmują nasze kształty. Wynik rewizji! — nie zakazanego nie znaleziono.

— Pod kocie biegiem marsz!

— Wróć.

— Pod kocie biegiem marsz!

— Wróć.

Za każdym razem sekunda opóźnienia powoduje „wróć”.

Gimnastyczne skoki trwały dokładnie kwadrans — w myśl książeczki „15 minut dla zdrowia”!

Wreszcie cudownym sposobem znalazło się całe skołatane bractwo jednym susem pod kocami ten skok wprawił w zachwyt samego profosa, bo nie użył już żadnej metafory, tylko dodał: „A gdyby ktoś w nocy coś tego, albo owego — to walić w drzwi”.

Znów zgrzyt klucza, łoskot rygla... nareszcie sami, pięć postaci, drżących z zimna, w piękną grudniową noc.

Za oknem szelmowski księżyc przywodził na myśl figlarne poczypania cywilnych dni, wietrzyk szeleścił wesoło, łamiąc co grubsze gałęzie.

Wśród względnej ciszy Morfeusz zbliżał się szybkimi krokami. Niestety, nie przewidział, jakie talenty tają w sobie moi koledzy! Nocy tej słyszałem kwartet chrapania, tak doskonale niesharmonizowany, że dziw, iż jeszcze zdrowy chodzę.

Minuty wlokły się, jak zamazane rekruty na „odtrąbiono” — przed oczyma ukazywały się wizje dni minionych.

Sen człowieka sprawiedliwego zamknął mi wreszcie powieki i oto in spe podchorąży zasnął w „pace” spokojnie, jak nowonarodzone dziecko po umyciu...

Podchor. rez. Z. Lissowski.



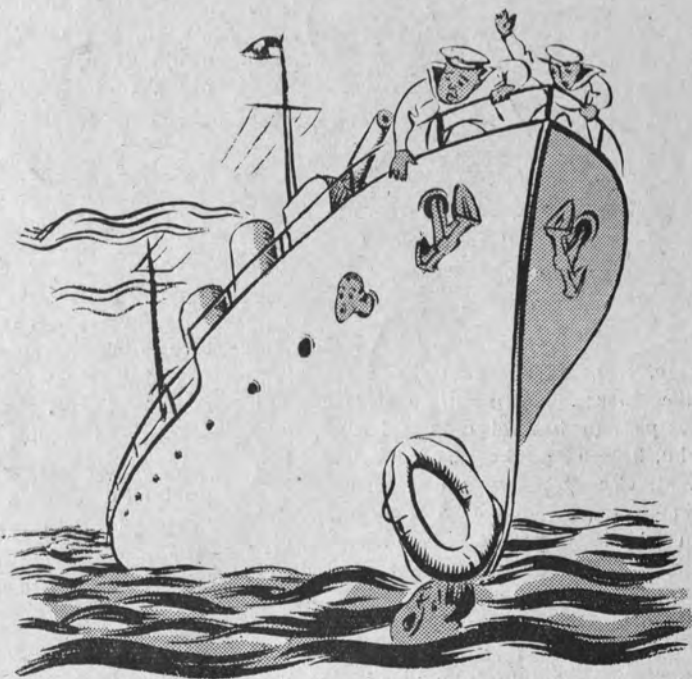


— Chciałbym być marynarzem
— Dla munduru?
— Ee, nie, raczej dla dziewczyny
w każdym porcie...

Stanowczo powinno się
rządziej okręt szorować.
Przecież woda kosztuje...



Ratunku! Co robić?
Utopiliśmy pas ratunkowy...



Redaktor Naczelny:
podechor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podechor. J. SZPER

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28.

Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.

Konto P. K. O. 26.720.

WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.

Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podechorążowie i szeregowi z cenzusem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milezarek, M. Mokrski, B. Nuszowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA“, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.